NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 9. czerwca 1917. Nr. 23.

Historyczne obrady w Krakowie.



I. i II. Poseł Głąbiński (×) przemawia z balkonu do zgromadzonych przed Magistratem tłumów. (××) Poseł Włodzimierz Tetmajer. III. i IV. Tłumy od strony ulicy Brackiej i kościoła Franciszkańskiego, przed usunięciem kordonu policyjnego.

Od wydawnictwa.

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk **nowej powieści p. Adama Wiarygi-Minieskiego**, pod tytułem:

„Małżeństwo wojenne".

Jest to **trzecia część** drukowanych w naszem piśmie utworów tegoż autora p. t. **„Miłość i Wojna"** oraz **„Poza frontem"**, które swą interesującą i aktualną fabułą, głębokością obserwacyi i barwnością opisów, zdobyły niezwykłe uznanie w najszerszych kołach Czytelników. Nie wątpimy też, że i nową powieść tego utalentowanego autora przyjmą Czytelnicy z niemniejszem zainteresowaniem.

Historyczne obrady w Krakowie.

Polityczna myśl polska Galicyi przeżyła w dniach 27. i 28. maja wielkie godziny. W starej siedzibie naszych królów, skąd tyle razy rozwijał się orli lot polskiego geniusza dziejowego, zebrało się najwyższe przedstawicielstwo naszej dzielnicy, Sejmowe Koło polskie, dla powzięcia wytycznych uchwał polskiej polityki w chwili, gdy po trzyletniem trwaniu największej z burz historycznych — ważą się losy narodu polskiego. Wielkiego słowa, które miało paść z ust naszego przedstawicielstwa sejmowego i parlamentarnego, wyczekiwał w poważnem skupieniu Kraków, wyczekiwała cała Polska, jak długa i szeroka.

Po niedzielnym wyniku obrad Koła Polskiego było już wiadomo, że i Koło Sejmowe na poniedziałkowem posiedzeniu pójdzie za głosem szerokich warstw narodu i przyjmie rezolucyę Tetmajera. — Niemniej historycznych obrad Koła sejmowego oczekiwano z napięciem. Już około godziny czwartej popołudniu zaczęła tłoczyć się ku placowi Wszystkich Świętych przed magistratem publiczność krakowska ze wszystkich sfer i warstw.

W przewidywaniu możliwych ekscesów zamknęła policya zwartym kordonem wyjścia placu od strony ulicy Grodzkiej, Brackiej i kościoła Franciszkańskiego. W ten sposób publiczność została zupełnie odcięta od gmachu magistratu, co wywołało wielkie niezadowolenie.

Gdy wiadomość o kordonie policyjnym doszła do posłów, znajdujących się wewnątrz pałacu Wielopolskich, oświadczył jeden z posłów, że kordon jest niepotrzebny, a Koło Sejmowe nie rozpocznie obrad, dopóki kordon nie zostanie usunięty. Do zapatrywania tego przyłączyli się także inni posłowie, tak, iż wiceprezydent miasta, Federowicz, który interweniował w tej sprawie, miał za sobą poparcie większości Koła.

Interwencya odniosła skutek. Policya usunęła się, a pod pałac Wielopolskich płynąć zaczęła nieprzerwana fala publiczności skupiona i pełna wyczekiwania.

Do nieprzejrzanego tłumu, wypełniającego zwolna cały plac przed salą obrad, wyszedł poseł Głąbiński i przemówił, wyrażając niezłomne przeświadczenie, że uchwała Koła Sejmowego, które za chwilę ma rozpocząć swoje obrady, będzie godną chwili i da wyraz powszechnemu uczuciu narodu, domagającego się w imię nieprzedawnionego prawa wolnej, zjednoczonej, niepodległej Polski. Tłum zakołysał się wśród najżywszych oznak zadowolenia i radości, a wśród oklasków przemówili następnie poseł Tetmajer, Śliwiński i Marek. W międzyczasie balkon wypełnił się znaczną liczbą posłów, a gdy, po odśpiewaniu „Roty" Konopnickiej, poseł Marek wezwał obecnych, aby, powstrzymując swe uczucia w pełnej ufności do obradującego Koła Sejmowego, rozeszli się, zebrane wielotysięczne zastępy rozeszły się w spokoju, godnym chwili.

Około godziny wpół do siódmej rozpoczęło się uroczyste posiedzenie Koła Sejmowego. Na sali



Z frontów bojowych: Cesarz Karol z marszałkiem polnym von Hötzendorfem i oficerami sztabowymi w rowie strzeleckim na południowym froncie.





Z życia narodowego w Królestwie Polskiem: Obchód Konstytucyi Trzeciego Maja w Działoszycach.

obrad, po prawej i lewej stronie trybuny prezydyalnej, zajęli miejsca goście z Królestwa Polskiego: członkowie Tymczasowej Rady Stanu: zastępca marszałka koronnego, prof. dr. Mikułowski-Pomorski, Dzierzbicki, Kunowski, przedstawiciele Koła międzypartyjnego: mecenas Papieski, b. poseł do Dumy Swierzyński i Zdanowski. Na sali obrad zgromadzili się posłowie i członkowie Izby panów: skrajną prawicę zajęli socyaliści, dalej konserwatyści, autonomiści i centrum, po lewicy zasiedli ludowcy, wreszcie demokraci narodowi z chrześcijańsko-ludowymi. — W pierwszym rzędzie byli obecni: książę biskup Adam Sapieha, ks. arcybiskup Józef Theodorowicz.

Po dokonaniu wyboru, zabrał głos poseł Tetmajer, który w obszernej przemowie oświadczył między innemi: „Skończyć się musi wszelka tajna polityka, prowadzona w gabinetach, bez wiedzy i woli szerokich mas narodu, bez wiedzy tych milionów, które wołają, że chcą jasnego i wyraźnego postawienia sprawy Polski. Dziś wykluczonem jest, aby sprawę Polski jedna rozstrzygała strona. Dziś ważą się losy Europy, do wojny wmieszała się Ameryka, a więc sprawa nasza rozpatrywaną będzie nie przez jedną stronę, ale przez wszystkich, być może wygrywaną przez jednych przeciw drugim. Tej chwili nie doceniać nie możemy. Musimy się zdobyć na odwagę i powiedzieć otwarcie, o co nam chodzi. Zapowiedział to prezydent Stanów Zjednoczonych, ogłosiła to Rosya, mocarstwa koalicyi się z tem zsolidaryzowały, ogłosiły to mocarstwa centralne, a my mamy milczeć? My musimy się wypowiedzieć. Tego żąda nie tylko nasza dzielnica, ale całość ziem polskich.

Lud zna wojnę z szeregów, z rowów strzeleckich, gdzie ginie i krwawi się. Ziemia od Tatr — po morze, jedna i nierozdzielna, oto nauka, którą wyniósł lud z rowów strzeleckich. — Tej jedności żądamy, bo tak każe nam nasz interes narodowy.



Szkolnictwo polskie na Wołyniu: Zjazd nauczycieli szkół ludowych okręgu kowelskiego. 1) Kom obwodu pułk. Urbański. 2) Kier. dep. cywilnego Krupski, insp. szkolny Gürtler. 4) Kom. dr. Appel. 5) Kapelan ks. Rolle. 6 Kom Kozbur.



Z frontów bojowych: Oficerowie kompanii szturmowej 13 pułku piechoty. Od lewej ku prawej stoją: Komendant kompanii porucznik Adler, porucznik Fostuch, porucznik Soukup, chorąży Szewczyk.



Historyczne obrady w Krakowie: Poseł Włodzimierz Tetmajer, którego rezolucyę uchwaliło jednomyślnie Koło sejmowe.

Poseł Tetmajer omawiał następnie akt z 5. listopada i oświadcza, że projekt wyodrębnienia Galicyi nie bronił interesów ludu polskiego. — Co się tyczy aktu odnośnie do Królestwa Polskiego, to mowca wskazuje na oświadczenie hr. Hutten-Czapskiego, złożone wobec przedstawicieli stronnictw warszawskich z okazyi zapowiedzi aktu z 5. listopada. O Galicyi i Wielkopolsce nie może być mowy, jako prowincyach, należących do państw zwycięskich. Tak brzmiało to oświadczenie. Dziś odzywa się jeden głos, przeciw któremu iść nie można. Obawiać się niema czego, gdyż rzecz tę stawiamy lojalnie wobec monarchii, w której żyjemy. Wyrażamy nadzieję, że cesarz zajmie się tą sprawą.

Młodzież nasza, która dnia 16. sierpnia roku 1914 wyruszała w bój, szła bić się nie o kawałek kraju, lecz o całość i niepodległość zjednoczonych ziem polskich. Zdobądźmy się na czyn odwagi, powiedzmy, czego chcemy, bo cały świat mówi, tylko my milczymy."

Imieniem stronnictwa ludowego przedkłada mowca następującą rezolucyę:

„Polskie Koło Sejmowe stwierdza, że jedynem dążeniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej, zjednoczonej Polski, z dostępem do morza, i uznaje się solidarnem z tem dążeniem.

„Polskie Koło Sejmowe stwierdza dalej międzynarodowy charakter tej sprawy, i uznaje jej urzeczywistnienie za porękę trwałego pokoju.

„Polskie Koło Sejmowe wyraża nadzieję, że życzliwy nam cesarz Austryi sprawę tę ujmie w swe ręce.

„Wskrzeszenie państwa polskiego, przy pomocy Austryi, zapewni jej naturalnego i trwałego sprzymierzeńca".

Poseł Sliwiński wnosi, aby wniosek posła Tetmajera uchwalić bez dyskusyi.

Przewodniczący poseł Leo, stwierdziwszy, że część obecnych sprzeciwia się wnioskowi o nieotwieranie dyskusyi, otwiera dyskusyę nad wnioskiem posła Tetmajera.

Po krótkiej dyskusyi zabiera głos poseł Daszyński, który omawia sprawę wyodrębnienia Galicyi, akt z 5. listopada i stwierdza, że wszystkie stronnictwa, godząc się początkowo na wyodrębnienie Galicyi, godziły się na nie, aby ono było pomostem do złączenia z resztą ziem polskich, aby nam nie przypadł w udziale los Rumelii wschodniej, wyczekującej długie lata na zjednoczenie z macierzystą Bułgaryą. Ale w marcu zaszły dwa wypadki, które zachwiały ustalonemi już niemal wytycznemi tej sprawy: Wojna ze Stanami Zjednoczonymi, propagującymi niepodległą i zjednoczoną Polskę i rewolucya rosyjska. To nadało sprawie polskiej charakter inny. Rosya przestała być straszakiem, a Stany Zjednoczone będą miały potężny głos w sprawie polskiej na kongresie pokojowym. Mówca daje rzut na sytuacyę wojenną, poczem zwraca się do posłów: Kto z narodem łączyć się będzie w tych ciężkich czasach, ten się nie pomyli. Naród zmiecie opornych, to, co się teraz dzieje, to tylko szemranie zefirka... Omawiając sympatye polskie, oświadcza mowca, że dziś w Polsce stronnictwa niemieckiego niema, interesom Niemiec służyć mogą tylko szaleńcy albo sprzedawczyki. Mowca zwraca uwagę, że dla Austryi istnieje konieczność rozwiązania sprawy polskiej ze względu na sytuacyę wewnętrzną i podnosi, że Austryę z Polską łączy wiele spójni, jak:

1) oba kraje są katolickie;
2) oba są państwami kontynentalnemi;
3) oba prowadzą ekspanzyę na wschód.



Z frontów bojowych: Kompania szturmowa 13 p. p. Na froncie komendant pułku podpułk. Poczyński (X).

Polska wolna i zadowolona będzie podporą tronu austryackiego. Mowca przestrzega jednak przed bizantyńskiem kadzidłem, przed zbytnią uległością, nie licującą z powagą narodu. Mogą to robić ci, których dziurki od guzików bolą, ale naród tego nie zrobi i nie chce.

Ks. poseł Okoń błogosławi rewolucyi rosyjskiej, która wniosła w nasze stosunki powiew postępu i podnosi, że przez lat pięćdziesiąt Koło Polskie można było błotem obrzucać i deptać, dziś dopiero przyszło ocknienie. Składa hołd posłom z dzielnicy poznańskiej za ich wystąpienie męskie w parlamencie niemieckim i mniema, że tak samo wystąpią w obronie swych praw Polacy galicyjscy w parlamencie wiedeńskim. Składa hołd Legionom, dziwi się tylko tym politykom polskim, którzy nie przewidzieli, jaki obrót sprawa weźmie...

Co do sojuszu, nie możemy przed czasem orzekać, co do formy rządu, w Polsce jedyną jest rzeczpospolita.

Rycerzem nowoczesnym — mówił dalej ksiądz Okoń — jest chłop. „Gdyście panowie konserwatyści uciekali — on jeden został, budząc podziw Niemców i obcych, orząc i siejąc, gdy bitwa się toczyła".

Następnie zwrócił się ks. Okoń przeciw drowi Bobrzyńskiemu i p. Jaworskiemu, których — zdaniem mowcy — trzeba od steru rządu odrzucić. Zakończył mowę, apelując, by Koło zachowało serce polskie i by żądało nie tylko Polski, ale i pokoju, bez którego kraj zostanie wyniszczony.

W czasie mowy posła ks. Okonia konserwatyści odbyli w westybulu sali krótką naradę, a gdy ks. poseł Okoń zakończył mowę — przemówił imieniem konserwatystów hr. Zdzisław Tarnowski, iż w imię solidarności narodu konserwatyści wniosek swój cofają. Wywołuje to huragany oklasków: Koło Sejmowe całe, bez żadnych wyjątków, jednoczy się jedną myślą i pragnieniem.

O godzinie trzy na ósmą rezolucya posła Tetmajera przychodzi pod głosowanie. Na znak zgody powstają wszyscy posłowie z miejsc. Zrywa się grzmot oklasków, który długo nie milknie i oznacza zgodną wolę przedstawicieli całego narodu.

Następnie jeden z posłów zawiadomił publiczność, zebraną przed magistratem, o zapadłej właśnie uchwale. Entuzyazm, radość i okrzyki zgromadzonych stwierdzały, że tym razem naród uważa posłów za swych prawdziwych reprezentantów...



Wandalizm w Muzeum Narodowem w Krakowie: Obraz Szyndlera „Dziewczyna w kąpieli" przed zniszczeniem.

Wandalizm w Muzeum Narodowem w Krakowie.

W drugi dzień Zielonych Świąt, gdy sale w Muzeum Narodowem były zapełnione publicznością, ks. Paulin Thot, przyniósłszy z sobą słój z terem i pędzel, zbliżył się do obrazu Szyndlera „Dziewczyna w kąpieli" i rzuciwszy się na to dzieło sztuki, zaczął je smarować terem. Kiedy go ubezwładniono z wielkim trudem, chciał jeszcze rzucić słój z terem na obraz, krzycząc: „Tu takie obrazy wisieć nie powinny!"

Mamy tu zatem do czynienia z tem samym wandalizmem na tle religijnym, który spowodował zniszczenia tylu arcydzieł sztuki w wiekach głębokiego średniowiecza. Niszczenie dzieł sztuki w czasach bliskich pogańskiej cywilizacyi znajdowało poniekąd usprawiedliwienie w tem, że pierwsi chrześcijanie widzieli w dziełach rzeźby posągi dawniej czczonych bogów, otaczane nabożeństwem i z tego powodu je niszczyli. Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, gdy oświata stawała się coraz to większą, wtedy chrześcijaństwo poczęło występować przeciw burzeniu dzieł sztuki i otaczać je pietyzmem i niemal głęboką czcią. Nie gorszyły nikogo nagie posągi Afrodyty, ani Apollina, widziano w nich bowiem ideał piękna, odtworzenie mistrzowskie tej natury, którą Bóg stworzył.

Tego zdania byli niewątpliwie papieże, którzy nie widzieli nic zdrożnego, gdy Michał Anioł na przykład stworzył na ścianie przed mensą, u której papieże w pałacowej kaplicy odprawiali nabożeństwa, „Sąd ostateczny" pełen nagich figur.

To też nie ulega wątpliwości, że czyn ks. Thota jest objawem ciemnoty i fanatyzmu, którego ani społeczeństwo ani władze duchowne nie mogą tolerować. A trzeba tu zaznaczyć, że ks. Thot już po raz drugi dopuszcza się podobnego barbarzyńskiego czynu. Zniszczył on niedawno odlewy gipsowe rzeźb w Akademii Sztuk pięknych, między którymi były odlewy z papieskiego Muzeum w Watykanie!

Uszkodzony obecnie przez niego obraz Szyndlera był utworem na wskróś niewinnym i czystym. Artyście chodziło o koloryt ciała, subtelnie malowanego, o grę światła, które przenikało przez powłokę, tak, że czuło się życie i oddech ciała. Przejrzystość farb pociągnęła też za sobą łatwość uszkodzenia.

Dodać należy, że Szyndler był gorliwym katolikiem do tego stopnia, że dwa lata spędził na dewocyi w Częstochowie u tych samych Paulinów, z których członek zakonu zniszczył najpiękniejsze dzieło jego życia!



Z frontów bojowych: Rezerwa w rowie strzeleckim

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

1

ROZDZIAŁ I.

Wiosna jakoś dziwnie długo tego roku przyjść nie chciała. O tej porze, kiedy po inne lata ruń młodych zbóż zieleniła się już po polach, kiedy świeże listowie rozpękało na drzewach i zakwitały pierwsze kwiaty wiosenne — zimno było jeszcze, pusto, martwo i biało.

Całun śniegu pokrywał ziemię, drzewa stały nagie, czarne i smutne, gdzieś od północy szły lodowate, mroźne tchnienia.

Ptaki wędrowne, które jak co roku o zwykłej porze do gniazd swych powracały, padały martwe z zimna i głodu.

Jeżeli gdzieniegdzie biały dzwoneczek śnieżyczki, albo drobny, leśny fiołek ośmielił się wychylić z główką, jakby przypominając zimie, że już precz iść powinna — to płatki jego kurczyły się, więdły, zwarzone mrozem i kwiat zamierał, przywalony zimnymi płatami śniegu.

A ludziom zdawało się, że ta uparta, ostra zima, trwa wieki, że nigdy nie skończy się... I drżeli na myśl, że z poza białych tumanów śniegu szczerzy zęby widmo straszliwe — głód!

I było im tak, jakby już nigdy słońce przygrzać nie miało, by ziemię odrodzić i umaić młodą zielenią, ubarwić kwieciem...

Jakby już nigdy zakwitnąć nie miała ani jabłoń w sadzie, ani róża polna na urwisku, ani niezabudka nad wodą — jakby umilkły na zawsze pieśni skowronkowe i słowicze, zgłuszone krakaniem kruków i wrzaskiem wron.

Jakby już na zawsze pozostać miały te nagie żałosne drzewa i rola zmarznięta, bezpłodna... i smutek... i pustka głucha... i śnieg...

Bo wiosna przyjść nie chciała, choć był już na nią czas. Jak gdyby bała się wyjrzeć na świat, co już rok trzeci płonął pożogą wojny i pławił się we krwi...

— Taka ta zima, jak i ta wojna — mówili między sobą ludzie — nie może się i nie może skończyć, choć każdy końca z tęsknotą wygląda.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Mamo, czy my pójdziemy dzisiaj na spacer?

— Nie, Władziu, dzisiaj bardzo zimno... i widzisz przecie. O! Taki gęsty śnieg pada!

Władek rzucił oglądaną przed chwilą książkę z obrazkami, w której już zresztą połowy stronic brakowało, wskoczył na stojące przy oknie krzesło i długą chwilę spoglądał przez szyby.

— Ten śnieg to leci i leci — wyrzekł wreszcie chłopczyk z jakąś skargą w głosie — taka długa zima! Kiedy będzie ciepło?

— Kiedy będzie ciepło? — zawtórowała mu młodsza siostrzyczka, która z upodobaniem powtarzała zawsze ostatnie słowa brata i tuląc do siebie lalkę, dodała: Moja Hania cie do ogłodu!

Pani Kornelia Rogoziewiczowa z uśmiechem spojrzała na dzieci.

— Cierpliwości, dzieci! Będzie ciepło, zazieleni się wszystko, zakwitnie... Pójdziecie wtedy do ogrodu i za miasto na łąki, pola, do lasu, jak tylko przyjdzie wiosna...

— A kiedy wiosna przyjdzie? — pytał dalej Władek. — Ona już powinna być... Dlaczego nie przychodzi? Niech przyjdzie! My wczoraj przed domem o, takiego malutkiego, ślicznego ptaszka znaleźli, co już umarł... Ani jeść nie chciał, ani się ruszać... Kasia mówiła, że zmarzł ze zimna. Biedny ptaszek!

— Biedny ptaszek...

— Po co takie zimno? Czy wiosna boi się przyjść, mamo?

Rogoziewiczowa uważniej spojrzała na chłopczyka, jakby zdziwiona jego zapytaniem.

— Może i boi się, Władziu — odrzekła po chwili w zamyśleniu.

Chłopiec zeskoczył z krzesła i z głośnym klekotem drewnianych podeszew „wojennych" trzewczków, podbiegł do macochy.

— Dlaczego? dlaczego? — wołał, szarpiąc ją za suknię. — Ty wiesz, napewno wiesz... Opowiedz, opowiedz!

Kornelia pogładziła chłopca po jasnej, niesfornej czupryńce i odłożyła ubranko dziecinne, które naprawiała i cerowała starannie i umiejętnie. Wprawa ta zadziwiać mogła u byłej studentki i asystentki laboratoryum chemicznego, która dopiero od kilku miesięcy miała sposobność, by zająć się łataniem zniszczonych sukienek i cerowaniem przerażająco podartych pończoszek dziecięcych.

Szary zmierzch wpełzał do pokoju. Niepodobna było szyć dłużej, a szkoda było jeszcze zapalać lampę.

Najlepsza godzina do serdecznej, poufnej pogwarki, albo do opowiadania bajek.

— Dobrze, opowiem wam bajkę o wiośnie... Zapanował radosny pisk i gwar.

— Słyszysz, Zośka, będzie bajka! Mama opowie bajkę!

— Mama opowie bajkę!...

Mała parka wywijała z radości rękami i nogami. Zosia co prędzej wdrapała się na kolana Kornelii, nie wypuszczając jednak z objęć lalki, którą także zachęcała do uwagi:

— Słuchaj, słuchaj Haniu!... Będzie bajta!... Długa, śliczna!...

Władek usadowił się na małym stołeczku, tuląc główkę do sukni macochy.

Nawet najstarsza, dziesięcioletnia Stefcia, która przy swoim małym stoliku pod oknem czytała powieść „dla starszej młodzieży", odsunęła książkę i zdawała się także nadstawiać uszy do słuchania.

Nie uśmiechnęła się jednak i nie powiedziała nic. Jej poważna, ładna twarzyczka szatynki o bardzo białej cerze i regularnych rysach zachowała swój zagadkowy wyraz, trochę jakby nieufny i trochę pogardliwy.

Kornelia nieraz z poważną troską zastanawiała się nad tem, dlaczego nie może zjednać sobie tej intelligentnej, nad wiek umysłowo rozwiniętej dziewczynki.

Wszelkie usiłowania młodej kobiety, by pozyskać, jeżeli już nie miłość, to przynajmniej jej zaufanie, były bezskuteczne.

Stefcia zachowywała się grzecznie, ale z odpychającym chłodem. Była posłuszna, ale nie pozwalała się wciągnąć w żadną serdeczniejszą pogawędkę z macochą i od wszelkiej jej pieszczoty uchylała się stanowczo.

Wprawdzie Władek i Zosia także uciekali z początku z krzykiem i płaczem od „brzydkiej pani", o której ojciec mówił, że to ich „mama". Ale powoli serduszka dziecięce przylgnęły do nowej opiekunki, ugłaskane łagodnością, a przedewszystkiem wymyślaniem różnych gier i zabaw i opowiadaniem zajmujących bajek.

Kiedy nareszcie pewnego dnia Kornelia kupiła Zosi śliczną lalkę otwierającą i zamykającą oczy, z włosami, które można było czesać, wówczas dziewczątko oświadczyło kategorycznie: „bzidla pani pojechała daleto, daleto, a ziostała dobla mama".

Władek dostał książkę z kolorowemi podobiznami nieznanych mu zwierząt, a gdy nowa „mama" obiecała mu opowiedzieć o każdem z nich długą i ciekawą historyjkę — przychylił się do zdania Zosi. I odtąd przyjaźń pomiędzy macochą a młodszemi dziećmi była zawarta.

Pozostawała tylko Stefka, ale ta była nieprzejednana. Długo wzdragała się przed tem, by nazwać macochę „mamą". Kornelia nie chcąc jeszcze więcej zrażać dziewczynki, nie nalegała i pomijała to milczeniem.

Dopiero Rogoziewicz zwrócił uwagę, że Stefcia przemawia do jego żony nieosobowo i wtedy dość ostra jego interwencya rozstrzygnęła sprawę.

Dziewczynka poddała się woli ojca, mówiła do Kornelii „mamo", ale to słodkie, pieszczotliwe nazwanie miało zawsze u niej jakiś nieszczery, wymuszony ton.

Kiedy Stefcia wiedziała, że nikt na nią nie patrzy, wówczas ze złośliwem zadowoleniem obserwowała brzydką twarz i niezgrabną figurę macochy.

— Taka szkarada! — powtarzała sobie z tem silniejszą, im więcej nielogiczną zaciętością — I ona zajęła miejsce mamusi, takiej słodkiej, ślicznej, kochanej!... Ta Pastrana!... Pastrana!...

Stefcia czytała, że Pastrana była to najbrzydsza na świecie kobieta i nazwę tę stosowała teraz do macochy.

Pewnego razu Kornelia chciała odkurzyć portret pierwszej żony Rogoziewicza, wiszący nad jego biurkiem. Nagle Stefka podbiegła ku niej, wyrwała jej z rąk miotełkę i brutalnie odpychając macochę, zawołała jakimś, jakby ochrypłym głosem;

— Nie!... Nie!... Ja sama!...

Rogoziewiczowa aż przestraszyła się — tak gniewnie pałały ciemne oczy dziewczynki.

Nie zgromiła Stefci za jej niegrzeczne zachowanie się i, nie mówiąc ani słowa, wyszła z pokoju.

— Co to jest? Co tę dziewczynę tak odpycha odemnie? Czy to, że zajęłam miejsce jej matki?... Czy odstręcza ją moja brzydota, bo ona ma silnie rozwinięte poczucie piękna... W każdym razie nienawidzi mnie... Jeżeli nie zdołam jej pozyskać, to będę miała w domu zaciętego wroga.

Jednakże nawet Stefcia nie umiała oprzeć się czarowi opowiadanych przez macochę bajek. Zwłaszcza, że bystry umysł dziewczynki umiał pochwycić zawsze poza zajmującą fabułą jakiś głębszy pierwiastek, niedostępny dla młodszego rodzeństwa...

I dlatego też teraz Stefcia odkłada książkę i, choć nie na macochę patrzy, ale w okno — słucha wszakże.

Kornelia przygarnęła ku sobie Władzia i Zosię i zaczęła opowiadać:

— Zawołał Pan Bóg do siebie Wiosnę i mówi do niej:

„Wiosno! Czas już na ciebie, zejdź na ziemię, bo ludziom smutno i zimno... Marzną biedni ludzie w izbach nieopalonych, płaczą ich dzieci... Idźże ich ogrzać, Wiosno!"

Załamała Wiosna swoje rączki, tak białe i wonne, jako płatki lilii i zapłakała łzami, co jak przeźroczyste perły porannej rosy polały się po licu różowem, niby kwiat jabłoni... i mówi:

„O! Panie! Jakoż mam iść, gdy lękam się... Już po raz trzeci oglądać mam mordy i pożary, krew i popioły, zgliszcza i gruzy... A pocóż pójdę?... Wszak przyjście moje ran nie zagoi, łez nie osuszy, zła nie usunie... Nie! Ze zjawieniem mojem sroższy się jeszcze rozszaleje bój, żywszą falą zakotłuje się morze krwi"...

„Wiosno, idź! Jesteś ludziom potrzebna!... Nasiej po gajach pierwiosnków, fijołków, sasanek... W kwiecie ustrój wiśnie, jabłonie i grusze. Niech wzejdzie młode zboże, niech zazieleni się wierzba przy drodze i pokrzywa u chłopskiego płotu, niech zapachnie czeremcha i leśna konwalia".

„O, Panie! Jakoż mam kwiecie siać i drzewa stroić w szatę godową?... Wszak ci mi fijołki i konwalie kołami armat i kopytami koni podepczą, drzewa kwitnące kulami ognistemi pogruchoczą, połamią, zabiją, a zielony młodych traw i zbóż aksamit krwią czerwoną ubroczą".

„Wiosno, idź! Czekają na ciebie ludzie w utęsknieniu wielkiem... Niechże jaskółka gniazdko pod strzechą uwije, niech skowronek, niech słowik pieśń swoją zaśpiewa".

„O, Panie! Jakoż wracać mają jaskółki, kiedy niema już tych chat, pod których strzechą gniazda wiły... Jakże rozbrzmiewać mają pieśni skowronków i słowików, jeżeli zgłuszą je jęki rannych i płacz a zawodzenie tych, co ukochanych stracili i tych, co zostali bez dachu i chleba... Za ostatnią bytnością moją słyszałam, jak płakała matka, której ostatniego zabili syna... I słyszałam, jak jęczał żołnierz konający, co młody był, piękny, dobry i o szczęściu marzył... I ja, com przyszła śmiać się i radować, zapłakać musiałam nad nim i nad innym jeszcze, co drobne dzieci miał do wyżywienia, a oczy na wojnie stracił... O, Panie! Nie każ mi schodzić na ziemię".

„Musisz iść, o Wiosno! I promienie słoneczne rzucić na pola, gaje, sady i wody, bo tam na ziemi dzieci smutno pytają matek, dlaczego tak zimno i czemu Wiosna nie przychodzi".

„O, Panie! Jakoż mam słonkiem ogrzać i rozweselić ziemię, kiedy mi je przysłonią chmurami dymów duszących... I cóż powiem dzieciom, co mnie o ojców pytać będą".

Tak się to wypraszała Wiosna Panu Bogu, aby nie iść na ziemię, na której już trzeci rok taka straszna wojna się toczy, ale Pan Bóg rzekł:

„Nie! To nie może być, Wiosno, abyś ty ludzi opuściła. Musisz zejść, aby plon wydała czarna rola, złotem ziarnem obsiana, potem znoju rolnika skropiona... Musisz zejść, żeby pocieszyć serca, co rozpaczają i tracą nadzieję i rozweselić dzieci, które do wiosny tęsknią... A jak już będziesz na ziemi, to nie zapomnij o kraju, co nad szarą Wisłą leży, a Polską się zowie... O tym kraju, gdzie najwięcej mogił i krzyżów i najwięcej łez wylanych... Wyzłoćże mi go słonkiem dobrze, umajże mi go pięknie zielenią i rozsiej po nim dużo pachnącego kwiecia"...

Władzio i Zosia jasne swoje główki przytulili do opowiadającej i słuchali cichutko. Stefce książka zesunęła się z kolan na ziemię. Dziewczynka ręce zaplotła i całą postacią naprzód się podała. Zapomniała w tej chwili o brzydocie macochy

i swojej do niej nienawiści. Chłonęła tylko w siebie słowa bajki, której sens właściwy ona jedna z tej małej gromadki pojęła.

Nagle w tę czarodziejską przędzę półtonem płynących słów wplątała się krótka gama głośnego śmiechu, a młody, dźwięczny głos zawołał:

— Niech mi Kasia da tę lampę! Ja zaniosę! Ze stukiem otwarły się drzwi. Pokój zalało jaskrawe światło lampy, którą trzymała w obu rękach młoda dziewczyna, ubrana w ciepły żakiet zimowy i czarną futrzaną czapeczkę.

Srebrzyły się na żakiecie i czapce płatki śniegu, uczepiły się białe gwiazdeczki niesfornych, naturalnie wijących się loczków, ale od młodej tej postaci powiało coś, niby świeżość poranku majowego i słodka woń rozkwitłych kwiatów wiosennych.

Może dlatego, że urocza twarz dziewczyny była jak kwiat najpiękniejszy, może dlatego, że jej niebieskie oczy przypominały lazur nieba pogodnego i błękit niezapominajek.

— Cóż tak pociemku? — zawołała, stawiając lampę na stole — Jakieś uroczyste posiedzenie!... Pewnie pani Kornelia opowiada bajki... Dobrze trafiłam, posłucham i ja...

Ale dzieci nie chciały już słuchać dalej bajki, bo dzieci zmienne bywają i okrutne.

Władzio aż stołek przewrócił z wielkiego pospiechu, Zosia zeskoczyła z kolan macochy i oboje biegli na wyścigi, krzycząc, co sił:

— Panna Józia! Panna Józia!

Ale uprzedziła ich Stefka. Chłodną, poważną, jakby nie dziecinną twarzyczkę dziewczynki rozjaśnił ciepły błysk radości.

Z burzliwą serdecznością rzuciła się przybyłej panience na szyję i zaczęła ją gwałtownie całować, dusząc niemal w uścisku.

— Panna Józia! Jaka pani dobra, że pani przyszła!...

- Stefa, dajże spokój, bo mnie udusisz!... Puszczajcie, bębny, niechże się z mamą przywitam!

— Nie, nie puścimy!... Panna Józia nasza, nasza!

Rogoziewiczowa w pierwszej chwili wstała na powitanie gościa, ale zaraz opadła na swój fotel, wsunęła się w niego głębiej, skurczyła się, zmalała, jak gdyby chciała stać się jak najmniej widoczną.

Szarpnęło nią złe, gryzące uczucie zazdrości. Już odebrano jej chwilowe władztwo nad temi dziecięcemi duszami. Gorzkie myśli wirowały w jej mózgu.

— Tak! Panna Józia nie opowiada dzieciom bajek, nie przerabia z niemi lekcyi, nie troszczy się o ich jedzenie, nie ceruje im pończoszek i nie szyje sukienek, a jednak kochają ją i garną się ku niej, bo panna Józia jest śliczna i czaruje je urokiem tej przedziwnej kobiecości, której ani naśladować ani nauczyć się nie można...

Kornelia zapragnęła nagle zmrozić ten swobodny, wesoły nastrój, jaki z wtargnięciem Józi zapanował.

— Dzieci! — powiedziała tonem tak ostrym, jakim jeszcze nigdy do pasierbów nie przemawiała — Proszę się zachować grzecznie i nie napastować panny Józi, a przedewszystkiem nie hałasować tak, bo tatuś...

Urwała, bo w tej chwili spostrzegła, że mąż stoi na progu. Istotnie hałas zbudził Rogoziewicza z jego drzemki, ale nie gniewał się wcale o to. Przeciwnie, jego smutną, bladą twarz cierpiącego człowieka rozsłonecznił dobry, serdeczny uśmiech. Z zachwytem spoglądał na śliczną grupę, jaką tworzyła Józia, otoczona tulącemi się do niej dziećmi.

Dziewczyna jedną ręką obejmowała Stefcię za szyję, drugą zrywała ze swoich bronzowych, puszystych włosów futrzaną czapeczkę, przyczem niesforne kosmyki, nieposłuszne szpilkom, ni grzebykom, rozsypywały się, a czerwonawe światło lampy krzesało w nich gorące, złote połyski.

Władzio ciągnął ją za fałdy sukni, a Zosia, podnosząc swoją buzię Murillowskiego aniołka, szczebiotała coś jak młode, świegotliwe ptaszę.

Józia śmiała się i odpowiadała malutkiej tą samą spieszczoną gwarą...

Rogoziewicz długą chwilę stał i patrzył.

— Jak wiosna — wyrzekł wreszcie, podchodząc i wyciągając do gościa jedyną swoją rękę — zawsze jak wiosna...

Rogoziewiczowa stała na uboczu zapomniana. Przygryzła wargi aż do bólu, aby nie wyrwały się z nich słowa ironiczne i niegrzeczne:

— Tak! Jak wiosna: kapryśna i zmienna!

ROZDZIAŁ II.

Kwietniowy, chmurny, wyjątkowo zimny dzień. Sypie śnieg z deszczem, zimny wiatr smaga twarze, jak rozpalonem żelazem i nawet poprzez ciepłe ubrania przenika aż do kości.

Mimo tego przed gmachem „Sokoła“ w powiatowem mieście Zykowie zgromadził się tłum ludzi. Nie dba o bezustanną chlapaninę, o świszczący wiatr i dotkliwe zimno, ale wytrwale, uparcie, cierpliwie stoi i — czeka. Nie zniechomiał jednak, nie zastygł w tem oczekiwaniu. Przeciwnie, gwarny jest i ruchliwy. Dużo tam rozmów ożywionych, dużo gestów wymownych, a najwięcej urwanych wykrzykników podniecenia.

Tłum faluje, porusza się to w tę, to w ową stronę, a niekiedy tłoczy się ku bramie budynku, ale odpływa zaraz, odpychany łokciami i pięściami kilku policyantów, którzy wołają:

— Ta, co jest? Nie pchać się! Proszy się rozejść! Tu jest „urzyndowe“ miejsce! Ta, co się pani tak pcha? Pani do „asentyrunku“ nie potrzebno!

Tłum cofa się, ale nie ustępuje. Przeważają w nim kobiety różnych sfer i stanów społecznych. Cała mozaika typów i postaci kobiecych, od pań eleganckich, strojnych w bogate futra, do robotnic, odzianych w chustki, lub podniszczone żakiety, od wieśniaczek w kraśnych strojach ludowych i koralach na szyi, do żydówek w perukach, od siwowłosych staruszek do dziewcząt młodziutkich.

Stoją jedne, dobrze odżywione, pełne, różowe i inne, daleko liczniejsze, mizerne, anemiczne, pożółkłe, stoją stare i młode, brzydkie i ładne, kwitnące i zawiędłe, panny i mężatki, wszystkie pełne troski i niepokoju.

Nawet stara żebraczka z pod kościoła, znana całemu miastu „krzywa Maryna“, przywlokła się o kiju, boć i jej syn staje dzisiaj do „synterunku“. A chociaż on o matkę ani dba, ani znać jej nie chce, zawsze ciekawość: wezmą, czy nie wezmą?

— Bo to proszę ja pani, zawsze słabowite było i nogi krzywe miało — objaśnia „krzywa Maryna“ jakąś stojącą obok niej mieszczkę w porządnym żakiecie z futrzanym kołnierzem i czarnym filcowym kapeluszu.

Ta kiwa głową na znak zrozumienia i nawzajem o wadzie sercowej swego męża opowiadać zaczyna.

Wogóle wszystkie te kobiety, jakby zatraciły poczucie wszelakich dzielących je różnic. Znajome i nieznajome rozmawiają ze sobą poufale i współczująco i rozumieją się doskonale. Każda z nich drży o kogoś bliskiego, o męża, syna, narzeczonego, czy brata, każda przechodzi te same tortury, oczekiwania i niepewności.

Śnieg zaczyna padać grubszymi płatami, ubranie przesyca się wilgocią, wiatr staje się coraz ostrzejszy, zimniejszy, dokuczliwszy, ale ktoby tam zważał na to... Tam, w głębi gmachu, odbywa się „asenterunek“...

Nie pierwszy to już „przegląd pospolitaków“ przyszedł po wielu innych. Zabrano już krzepkich, zdrowych, tryskających nadmiarem życia i sił — teraz kolej na słabszych, chorowitych, obarczonych organicznemi wadami lub chorobami.

W tłumie, obok kobiet, czekają na wynik „asenterunku“ także mężczyźni, ale jest ich daleko mniej. Przeważnie to już ludzie starsi. Najwięcej żydów. Ci też najgłośniej mówią, najenergiczniej gestykulują i największe zdradzają zdenerwowanie.

Oczy całej tej gromady ludzkiej kierują się co chwila w górę, ku oknom, gdzie migają twarze męskie, uśmiechnięte jedne, inne zafrasowane, inne wreszcie obojętne, spokojne.

To są „pospolitacy“. Jedni już wyrok komisyi usłyszeli, inni oczekują nań dopiero.

Tłum usiłuje porozumieć się z nimi, pomimo, że okna zamknięte.

— No, gadajże! Wzięli cię, czy cię nie wzięli?! — woła na cały głos zażywna, rumiana jejmość, robiąca wrażenie typowej, małomiejskiej „pani majstrowej“.

Stojący przy oknie mężczyzna, z okrągłą, dość głupkowatą twarzą, uśmiecha się niewyraźnie i daje ręką jakieś niezrozumiałe znaki.

— Rany Boskie! A toć on chyba pokazuje, że go wzięli! Ale napewno nie wiem! Gadajże wyraźnie, po ludzku! Ciemięgo jeden! Wzięli cię, czy nie?!

Znowu gest niezrozumiały.

— Ani chybi, wzięli go! O, rety! rety! A cóż oni z nim zrobią?! Przecie on głuchawy jest i jedną nogę ma w kolanie grubszą!

— Skądże pani wie, że go wzięli? To jeszcze niewiadomo! — wtrąca ktoś uwagę.

— Jakże nie wiadomo! A bo to nie pokazywał! Tymczasem mąż energicznej jejmości ukazuje się w bramie, uśmiechnięty, zadowolony. Uznano go za niezdatnego.

Zaledwie jednak zdążył oznajmić to żonie, ta wybucha gniewem.

— A cóżeś ty mi, durniu jeden, pokazywał, że cię wzięli! „Śpasy“ sobie będziesz stroił? Za głupią mnie masz? Nastraszyć mnie chciałeś? Uwa! Jeszcze takiego przy wojsku nie widzieli!

Tu i ówdzie słychać w tłumie śmiech.

— Bądźże pani zadowolona, że męża puścili, a nie tak zaraz huru-buru na niego, bo się jeszcze „frajwilig“ do wojska zamelduje!

— Hop-go pani za „badyle“ i wio z nim do domu!

Inna, żona łagodniejszego snać usposobienia, z cichem rozpromienieniem ujęła pod ramię męża swego, uderzająco chudego człowieka, o pergaminowej cerze i zapadłej piersi.

— Biedactwo! Cieszy się, a jemu i bez wojny trzy ćwierci do śmierci!...

Jakiś garbusek tłumaczy znajomym, że nie pojmuje, jak się to stało, iż jego nie uznano za „zdatnego“, chyba przez pomyłkę lekarza.

Ale ci „uwolnieni“, to jednostki tylko. Coraz częściej słychać słowa „wzięty“, „asenterowany“, „zdatny“, „geeignet“.

Bardzo młoda kobieta z wyglądem dziewczyny i ślubną obrączką na palcu, płacze cicho. Nie krzywi się, nie łka, nie zawodzi, tylko usta jej drgają żałośnie, jak u skrzywdzonego dziecka i łzy płyną po policzkach duże, jasne, niby płynne perły. Obok niej baba wiejska, w „rzęsistych“ spódnicach, odziana grubą chustką, uderza w głośny lament.

— O! Mój Boże! Mój Boże!... Moje dzieci!... Mój biedny chłop!...

— Cichojcie, kumo! A czyście wy to pirszo i czy ostatnio?

— Dziękujcie Bogu, że mąż tyle czasu w chałupie był!

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Całuję rączki pani dobrodziejce! Moje najniższe uszanowanie pannie Loli! To i panie tutaj? Pan Konrad staje?

— A tak... Stoimy już od kilku godzin i nic nie wiemy! Mój panie Adamski, może panu będzie łatwiej... Gdyby pan był łaskawy dowiedzieć się... Wprawdzie Konrad był już raz superarbitrowany z wojska i teraz niedawno przechodził ciężkie zapalenie płuc, ale zawsze...

— Z przyjemnością, pani dobrodziejko! Służę! Już ja się dowiem...

Krótki, korpulentny, łysy jegomość składa ukłon przed panią Zarnicką i jej córką i znika.

— Doprawdy, mamo, nie wiem, czego my tutaj marzniemy godzinami! Jakikolwiek będzie rezultat, dowiemy się w porę...

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Obchód konstytucyi Trzeciego Maja w Starym Zamościu **Trzeci Maja na Chełmszczyźnie:** Uroczysty pochód przed kościołem w Starym Zamościu.

Trzeci Maja na Chełmszczyźnie.

Niewiele czasu i niewielu wysiłków było potrzeba, aby życie polskie, które w Chełmszczyźnie sztucznie i przy użyciu wszelkich środków tłumiono, aby to życie polskie w całej swojej potędze i bujności się ujawniło. Ze tak jest, że owa tylekrotnie w literaturze lat ostatnich wspominana ziemia Chełmska ma oblicze nawskróś polskie, świadczą liczne zakłady naukowe, już powstałe, albo powstające na całym jej obszarze; świadczy ruchliwa i najpiękniejsze owoce rokująca działalność Macierzy szkolnej, świadczy wreszcie mnóstwo innych objawów, między którymi różne obchody i uroczystości narodowe nie ostatnie zajmują miejsce.

Do takich właśnie uroczystości należałoby zaliczyć obchód ku uczczeniu 126 tej rocznicy Konstytucyi Trzeciego Maja, który się odbył niedawno w Zamościu, a od podobnych obchodów odbiegał zarówno nieszablonowym programem, jak też wybitnie swojskim charakterem. Urządzeniem obchodu zajął się nadleśny. p. Wróblewski, przy żywym współudziale pp. Namysłowskich, których orkiestra wykonała cały szereg pięknych utworów patryotycznych. Uroczystość wzbudzała tem większe zainteresowanie, że połączono z nią obrzęd święcenia sztandarów dla szkół okręgu zamojskiego. Tysiączne tłumy ludu i mieszczaństwa zeszły się z okolicy, aby wziąć udział we wspaniałym pochodzie, który się odbył po nabożeństwie, celebrowanem przez proboszcza, ks. Gozdalskiego. Do zebranych rzesz przemówił następnie w sposób wzruszający i podniosły ks. Kosmólski, wikaryusz miejscowy. Mowa jego wywarła na słuchaczach bardzo głębokie wrażenie. Nakoniec dodać trzeba, że w obchodzie wzięła też udział młodzież trzynastu szkół ludowych okolicznych z nauczycielstwem na czele.



Legiony w Królestwie Polskiem: Na placu ćwiczeń drugiego pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim.

Legiony w Królestwie Polskiem.

Przełomowe chwile przeżywają obecnie Legiony w Królestwie Polskiem. W poprzednim numerze pisaliśmy o stosunkach, panujących obecnie w legionowych obozach ćwiczeń i zamieściliśmy odezwę marszałka koronnego do Legionów. W sprawie tej korespondent piotrkowski „Dziennika Narodowego" donosi:

„Wydanie odezwy do wojska polskiego przez marszałka koronnego może być niezrozumiałem dla wielu, którzy nie znają przyczyn, jakie tę odezwę spowodowały. Przyczynę tę stanowi ferment, jaki się ujawnił w pewnych kołach legionowych na tle politycznem, a który jest analogiczny do groźnego



Legiony w Królestwie Polskiem: Oficerowie drugiego pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim.



Legiony w Królestwie Polskiem: Ćwiczenia drugiego pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim

zjawiska, jakie przeżyły Legiony polskie w jesieni ubiegłego roku, kiedy im groziło zupełne rozbicie. Źródło tego fermentu tkwi niewątpliwie z jednej strony w chaotycznej i beznadziejnej sytuacyi politycznej, w której organizowanie państwa polskiego



Trzeci Maja na Chełmszczyźnie: Poświęcenie sztandaru szkolnego w czasie obchodu Konstytucyi Trzeciego Maja w Starym Zamościu



Pierwsza zabawa letnia w Krakowie: Obóz cygański na festynie Czerwonego Krzyża w parku Jordana.

utknęło na martwym punkcie i w rodzącem się stąd zniecierpliwieniu oraz pesymiźmie, z drugiej strony w rozmaitych zarządzeniach władz niemieckich w zakresie spraw wojskowych, które przykro odczute zostały w szeregach żołnierskich, a są następstwem braku należytej ingerencyi czynników polskich na sprawy wojska polskiego. Ujawniły się przeto w pewnych kołach wojskowych tendencye polityczne, których rezultatem było wysłanie do marszałka koronnego delegacyi, która przedstawiła marszałkowi pewne postulaty politycznej natury ogólnej w formie ultimatum. Ten właśnie fakt skłonił marszałka do wydania znanej odezwy do wojska polskiego".

Pomimo tak trudnych warunków politycznych, w jakich znalazły się obecnie Legiony, nie ustaje tam jednak praca organizacyjna. W obozach ćwiczeń, urządzonych w Zambrowie, w Mińsku Mazowieckim i t. d. Legioniści ćwiczą się w rzemiośle wojskowem, oczekując z utęsknieniem chwili, gdy Legiony staną się rzeczywiście armią wolnej, niepodległej Polski — podległą jedynie władzy własnego polskiego rządu.

Pierwsza zabawa letnia w Krakowie.

Otwarciem sezonu festynowego w Krakowie był wielki festyn w parku Jordana, urządzony w Zielone Święta na dochód Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża. Przed godziną trzecią tłumy publiczności dążyły pieszo i tramwajami w stronę Błoń, a przy kilku ustawionych specyalnie na ten cel kasach utworzyły się „ogonki" z chcących nabyć bilety wejścia do parku. Na moście wejściowym, ustawieni żołnierze pod dozorem oficerów, kontrolowali bilety wejścia, tak, że nie było ani zbytniego pośpiechu, ani natłoku. Główną aleję parkową przystrojono chorągiewkami o rozmaitych barwach, a w licznych namiotach otwartych i pod parasolami panował ruch ożywiony.

W osobnym kiosku sprzedawano roboty rannych i chorych żołnierzy, a w drugim kiosku roboty jeńców. Na sprzedaż wina i wódek, którą urządziła kapitanowa Niewiadomska, przeznaczono osobny duży namiot. Napoje te i pierniki sprzedawały panie: Jasińska, Tadeuszowa Merunowiczowa, Pelczarska, kapitanowa Niewiadomska, Rimmlerowa, Nieciowa, Tillesowa i inspektorowa Lowenburgowa.

W dwóch namiotach objęły rozsprzedaż wody sodowej pref. Piltzowa i p. wiceprezydentowa Sarowa z p. prof. Janową Buczowską; rozprzedaż papierosów i confetti w dwóch kioskach pp. Górska, Syropowa i Kanarkowa.

W kiosku w formie wielkiego kosza sprzedawały kwiaty p. prezydentowa Leowa, hr. Adamowa Tarnowska, p. pułkownikowa Grimowa, baronowa Lago i p. Ludmiła Federowiczówna; w dwóch mniejszych kioskach — p. prezydentowa Maryewska i p. Wiktorowa Janowa.

Nadto czynne były rozmaite koła szczęścia, loterye, strzelnice, a przedewszystkiem urządzenie do „piekielnej jazdy", która odbywała się na zwyczajnych matach słomianych i miała bardzo wielu zwolenników. Nie małą pracę miały też funkcyonaryuszki poczty ogrodowej. Bardzo wielką frekwencyą cieszył się obóz cygański, urządzony na końcu parku. Oprócz cyganek „wróżących", były i popisywały się tańcami przybrane w kostyumy uczenice Niny Dolli, jak i ona sama. Do tańców przygrywały dwie orkiestry: wojskowa i cywilna.

W poniedziałek odbyła się w mieście zbiórka na rzecz krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża", a na plantach w kilku miejscach jednocześnie odbywał się koncert kilku orkiestr. Sądząc z tłumnego udziału publiczności w festynach, jak i zbiórce, dochód na rzecz Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża" powinien być znaczny.



Legiony w Królestwie Polskiem: Legioniści w pochodzie podczas obchodu Konstytucyi Trzeciego Maja w Warszawie.

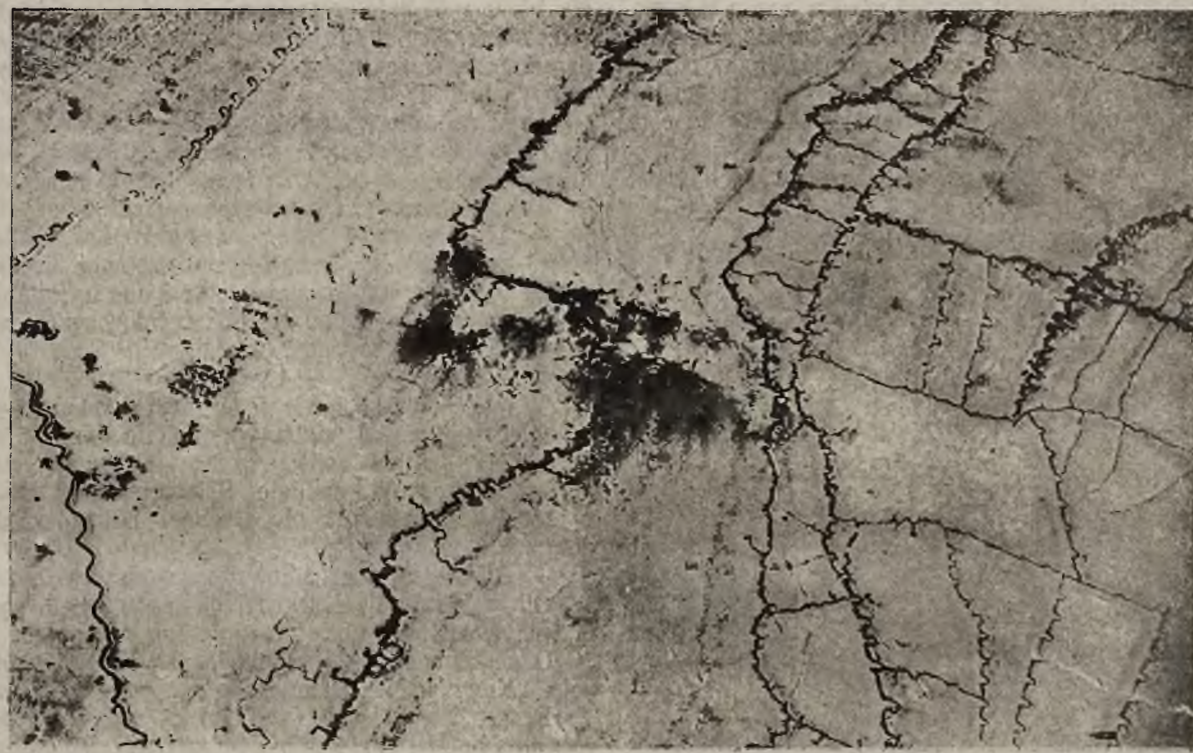
Wojna w powietrzu.

Tocząca się obecnie wojna światowa korzysta ze wszystkich znanych wynalazków, które w strategii mogą znaleźć jakieś zastosowanie, nic też dziwnego, że ogólna uwaga zwróciła się i na wszelkie rodzaje balonów, które walczącym stronom oddają nadzwyczajnie usługi. O ile aeroplany, hydroplany i, pokrewne zwykłym balonom, Zeppeliny uważane być muszą jako napowietrzne statki bojowe, o tyle znów zwykłe balony, napełnione gazami, zwłaszcza zaś balony na uwięzi, zyskały najważniejsze zastosowanie do rekognoskowania ruchów nieprzyjacielskich i sygnalizacyi.

W ciągu obecnej wojny spotykamy się więc z balonami systemu Zeppelina, które, mimo swych potwornych wprost kształtów, nadają się zupełnie dobrze do prowadzenia wojny w powietrzu, zwłaszcza zaś do napadów na pozycye nieprzyjacielskie, oraz do celów obserwacyjnych, gdy tymczasem balony na uwięzi tylko w tym ostatnim kierunku oddają znaczne usługi walczącym stronom. Są one umocowane na długim sznurze, który rozwija się sam, gdy balon wznosi się w górę, ściąganie na dół odbywa się przez nawijanie sznura przy pomocy machiny parowej. W łódce balonu lokuje się obserwator i przez telefon polowy zawiadamia komendę o pozycyach i ruchu wojsk nieprzyjacielskich.



Pierwsza zabawa lotnia w Krakowie: Urocze cyganki na festynie Czerwonego Krzyża w parku Jordana



Wojna w powietrzu: Zdjęcie fotograficzne terenu bojowego dokonane przez lotników.

Pierwsze balony, wynalezione przez braci Montgolfier (1782) wypełnione były ogrzanem powietrzem, następnie miejsce jego zajął wodór, ten wreszcie ustąpił miejsca gazowi świetlnemu, nadającemu się najlepiej do tego celu. Warto przy tej sposobności wspomnieć, iż właściwymi pierwszymi aeronautami, którzy przy pomocy balonu wznieśli się w przestworza, była zwykła, niewinna owieczka, w towarzystwie gęsi i koguta. Dopiero, gdy cały ten zespół wrócił szczęśliwie na ziemię, wzbił się w dniu 21. listopada 1783 roku w górę Pilâtre de Rozier z margrabią d'Arlandes i dosięgnęli wysokości 1000 m.

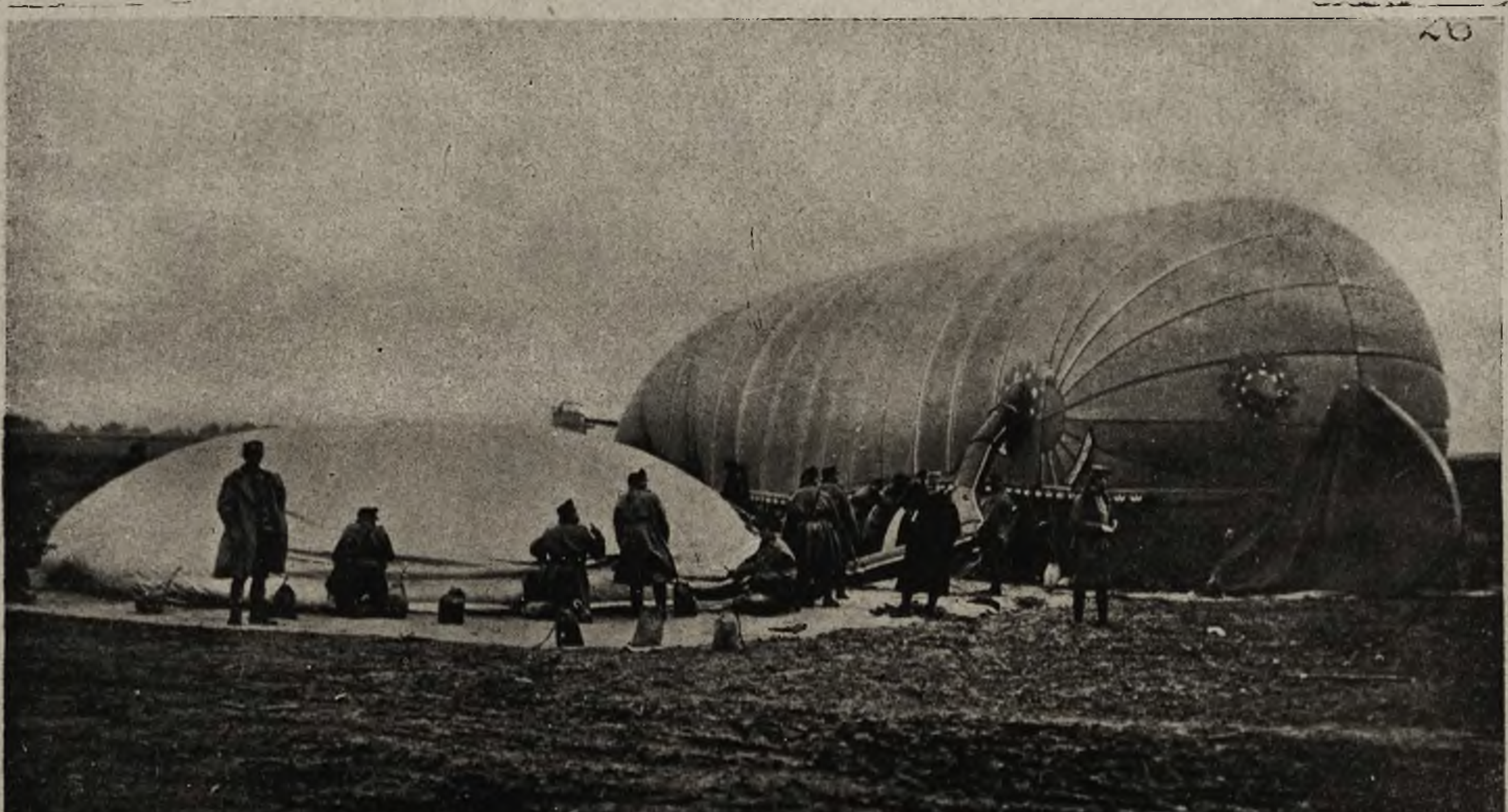
Z frontów bojowych.

Ofenzywa francusko-angielska na zachodnim froncie weszła w stan — można powiedzieć — „chroniczny". Od kilku miesięcy powtarzają się tam bez przerwy ataki wojsk francuskich i angielskich, wre zacięta walka, pochłaniająca tysiące ofiar, lecz wszystkie te wysiłki są jeszcze dalekie od jakiegokolwiek rozstrzygnięcia.

Oryginalny opis tych walk zamieszcza korespondent „Vossische Zeitung", który między innemi pisze:

„Skoro dostaliśmy się do małej łączki, ciągnącej się między dwoma lasami, przekonaliśmy się, że dzisiaj będzie „gorący dzień". Francuzi domyślali się tu stanowiska bateryi. Bum! Bum! Dwa słupy dymu strzeliły z ziemi. Pierwszy trochę w bok, drugi tuż przy drodze. Trzeci strzał powinien był paść w środek drogi. Biegiem pędzimy więc przez niebezpieczne miejsce. Istotnie — huk za nami! Trzeci granat!

Dobiegamy do drugiego lasku, ale i tu nie lepiej. Zaledwie dopadliśmy pierwszych drzew, świst w powietrzu znowu się rozlega. Z strasznym trzaskiem pęka granat. We trzech biegniemy trochę w bok, gdzie zdaje nam się być trochę spokojniej. Szukamy schronienia i zasłony. Najpierw w kilku rozwalonych starych lejkach, dalej dopadamy krótkiego, płytkiego rowu. Przypadkowo dostaliśmy się przed prawdziwe stanowisko niemieckiej bateryi, która właśnie zaczyna odpowiadać na wyzwanie z przeciwka. Nad głowami naszymi świst i skowyt. Las drży i szemrze. Powietrze, przecinane ze świstem, jęczy i wzdycha. W tem z przeciwnej strony przycho-



Wojna w powietrzu: Przelewanie gazu z balonu podłużnego w kulisty.

dzi replika Francuzów, którzy macają naszą baterye. Pół godziny trwa ten dyalog haubic, poczem przycicha. Opuszczamy naszą kryjówkę w rowie, przeciskamy się po przez krzaki z powrotem na drogę i po długiem poszukiwaniu docieramy do celu naszej wędrówki, do komendy pułku.

Komendant pułku prowadzi nas w głąb ziemi



Pierwsza zabawa letnia w Krakowie · Obóz cygański na festynie Czerwonego Krzyża w parku Jordana.

do ziemianki dobrze ukrytej i krzepi szklanką wody mineralnej. Tuż obok kwatery pułkowej wznosi się punkt obserwacyjny. Możliwość zobaczenia pola walki tak blizko pociąga nas. Chcemy leźć na górę.

— Ma pan jeszcze czas — wstrzymuje nas pułkownik — na razie niema sensu tam się wydostawać. Wszędzie mgła i kurz, z przodu nic nie widać.

Podziemne mieszkanie kunsztownie wyłożone drzewem, wprawdzie wązkie, ale urządzone wygodnie. Zasiadamy za stołem przy dwóch świecach. Na górze nad nami rozpoczyna się znowu wściekła strzelanina, tylko groźniejsza, straszniejsza, niż przedtem, wzmagająca się coraz bardziej. Wybuch za wybuchem! Niema wątpliwości, że kanonada ta ma swój cel. Ziemia wkoło nas i za nami wstrząsa się i drży od pękających pocisków. Kredowa góra drży. Płomienie świec wahają się, jakby bojaźliwie.

Telefon brzęczy. Obserwator zgłasza się:

— Nic nie widać dokoła, wszystko pokryte dymem, cały odcinek pułku pokryty ogniem huraganowym. Wkoło mojego stanowiska świszczy i huczy.

Pułkownik spokojnie sam bierze słuchawkę i wydaje rozkazy. Ktoś puka.

— Wejść!

W ramach drzwi zjawia się postać, pokryta kurzem. Młody oficer w stalowym hełmie na głowie. W mdłem świetle świecy jasno odcina się biała sylwetka. Salutuje i melduje. Połączenie telefoniczne z jego batalionem już nie istnieje. Druty zostały zerwane.

— Melduj się pan u adjutanta, on spisze meldunek.

Oficer kłania się i schodzi do jeszcze głębiej położonej ziemianki, gdzie urzęduje sztab pułku.

O godzinie siódmej nadchodzi decydujący meldunek: „Nieprzyjaciel atakuje!"

Francuzi przerwali w jednem miejscu naszą przednią linię. Podniecenie moje zwrasta. Pułkownik wydaje spokojnie rozkazy, poczem zwraca się do nas:

— Tak — moi panowie — jesteśmy tutaj w drugiej linii. Właśnie kazałem silnie obsadzić rów łącznikowy, a także ten rów przed nami wzmocniłem. Nie sądzę, aby Francuzi aż do nas się dostali. Ale wszystko ostatecznie jest możliwe. Możeby więc lepiej było, aby każdy z was zaopatrzył się w granat ręczny i poszedł do rowu. Na razie proszę czekać!

Siedzimy więc jeszcze jakiś czas w ziemiance. Z przodu toczy się w całej pełni walka piechoty. Obserwator zgłasza się po pewnym czasie. Żyje jeszcze i jego zakrywka cała. Wprawdzie granat uderzył tuż obok, ale nie wybuchnął. To go ocaliło. Ogień artyleryi cichnie.

Wydostajemy się na górę. Blask światła dziennego oślepia nas. Widzimy tylko na kilka metrów przed siebie. Dymy wybuchów pomięszane z pyłem wapiennym zakryły wszystko. Nagle nad głowami naszemi przeciera się niebo, widać w górze kawał niebieski, a na nim mały poruszający się punkcik. „Lotnik nieprzyjacielski". Nie powinien nikogo dostrzedz. „Ukryć się!" brzmi rozkaz. W momencie wszystko znika. I nas znowu pakują do ziemianki. Taniec piekielny rozpoczyna się na nowo.

Drzwi otwierają się gwałtownie. „Maski gazowe przygotować!" Wszyscy ubieramy się w te osłony przed zatruciem. Czekamy. Ale atak gazowy nie następuje. Wreszcie pułkownik zjawia się sam i powiada, że wszystko idzie dobrze. Radzi nam jednak wracać na tyły. — W półmroku wieczoru maszerujemy przez las. Rakiety świetlne przyświecają nam. Gdzieś w oddali czerwieni się pożar. Artylerya niemiecka przygotowuje kontratak. Walka trwa dalej, aż do drugiej w nocy."



Pierwsza zabawa letnia w Krakowie: „Jazda piekielna" na festynie Czerwonego Krzyża w parku Jordana.

Powyższy opis maluje barwnie jeden z epizodów tej piekielnej walki, jaka toczy się bez przerwy już od kilku miesięcy na zachodnim froncie. Za przykładem Francuzów i Anglików poszli w ostatnich czasach i Włosi, atakując z niemniejszą gwałtownością pozycye wojsk austro-węgierskich. Jedynie tylko na wschodnim froncie panuje dotychczas względny spokój. Pomimo wojowniczych odezw tymczasowego rządu rosyjskiego i Rady robotniczo-żołnierskiej, wojska rosyjskie nie zdradzają zbytniej ochoty do rozpoczęcia zapowiadanej już kilkakrotnie ofenzywy.



Wojna w powietrzu: Napełnianie gazem balonu wojennego poza frontem.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

18

— Nic nie wiem o tem. Sądziłam zawsze, że stało się to w Sydney.

— Ale pani nie jest tego absolutnie pewną?

— Nie.

— Pani Clemmens pochodziła z Nebraski. Dlaczegóżby więc tam poznać się nie mogli?

— Nie wiedziałam, że przebywał w tamtych stronach!

— Ale co pani Clemmens tam robiła? Byłem pewny, że przepędziła młodość swoją w Chicago.

— Tak, to jest prawdą, krewna moja dzieciństwo swoje spędziła tam, ale będąc sierotą, musiała pomyśleć później o zarobku na życie. Znalazła miejsce panny służącej w pewnym hotelu w Svanson.

— Hm, hm! — mruknął pan Gryce. — Więc była panną służącą? A czy była nią jeszcze, kiedy wychodziła za mąż?

— Tak sądzę, ale napewno twierdzić nie mogę. Jest to wogóle epoka, o której zmarła niechętnie lubiała wspominać, nawet ze mną.

— Czy nie wie pani dla jakiej przyczyny? — zapytał silnie zaintrygowany pan Gryce.

— Zapewne dlatego, że mąż jej w tym czasie umarł niespodzianie!

Detektyw zamierzał już zadać inne pytanie starej pannie, kiedy do pokoju weszła robotnica, oznajmiając, że klientka jakaś prosi pannę Farman o chwilę rozmowy.

Dziwna niespodzianka oczekiwała starego detektywa, podczas kiedy oczekiwał na jej powrót. Z pokoju przyległego, którego drzwi były napół otwarte, dobiegł go szept słów wymówionych głosem kobiecym. Głos był stary, nierówny i zduszony. Pan Gryce mógł jednak podchwycić to zdanie, wymówione trochę wyraźniej i dobitniej:

— Czy on się nazywał Clemmens, czy Ormond? Ah, moja biedna głowa! Nie mogę sobie przypomnieć! Pamięć tracę zupełnie!...

Błysk szalonego tryumfu zajaśniał w ciemnych oczach starego detektywa.

— Otóż to nieprzewidziane szczęście detektywów — szepnął uradowany. — Ślepy przypadek najlepiej rozjaśnia tajemnicę, nad którą sobie inni suszą głowę.

Nie licząc się z okolicznościami, wzruszony i podniecony, podszedł do drzwi, chcąc coś jeszcze podsłuchać, kiedy właśnie w tej chwili nadeszła panna Farman.

— Proszę pana — zawołała — niech pan tam nie wchodzi! To pokój mojej matki, która jest bardzo cierpiącą!

— Przepraszam panią najmocniej — odparł pan Gryce — ale właśnie w tej chwili matka pani wymówiła słowa, które mogą mieć wielkie znaczenie dla nas.

— Co pan mówi? Mama? Czy się pan nie łudzi, panie Gryce! Muszę panu wyznać, że mama nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi! Odkąd dowiedziała się o tragicznej śmierci pani Clemmens, zmieniła się bardzo i mam wrażenie, że się coś w jej biednej głowie popsuć musiało. Podchwytuję ją często na szeptaniu jakichś słów bez związku i sensu.

Pan Gryce uśmiechnął się lekko.

— Nie wiem, nie wiem dopradwy — odpowiedział, zniżając głos — ale to, co powiedziała przed chwilą, było bardzo jasne i znaczące dla nas.

— Maryo Anno! Maryo Anno! — zabrzmiał znowu głos starej kobiety. — Dlaczego powierzyłaś mi swoją tajemnicę? Mogłaś się z nią zwierzyć Emilii... Gdybym chociaż przypomnieć sobie mogła!

— Czy słyszy pani? — zwrócił się detektyw do panny Farman.

I nie wahając się już, stanął ostrożnie w drzwiach pokoju i wymówił powoli:

— Zdaje mi się, że się nazywał Ormond!

Stara kobieta, leżąca na łóżku, uczyniła gest zadowolenia.

— Tak, tak — westchnęła głęboko — Przecież on się nie mógł nazywać Clemmens.

Panna Farman cofnęła się, spoglądając z przerażeniem na pana Gryce.

— A więc pani Clemmens była żoną adwokata Ormond? — nalegał stary detektyw.

Ale tym razem pani Farman otrząsnęła się z odrętwienia, w które zapadła; otworzyła oczy i widząc nieznajomego człowieka, stojącego przy jej łóżku w towarzystwie jej córki, zawołała niezadowolonym głosem:

— Wiesz przecież, Emilio, że nie życzę sobie wcale widzieć doktora!

Poczem wsunęła rękę pod poduszkę, jakgdyby szukając czegoś. Przedmiot ten znalźć musiała, bo oczy jej dotąd niespokojne i niedowierzające przybrały wyraz zadowolenia.

Panna Farman pochwyciła detektywa za ramię i chciała go wyprowadzić z pokoju.

— Matka moja przebudziła się już — rzekła szeptem. — Nie dowie się już pan nic ciekawego od niej.

Rzeczywiście, stara kobieta odwróciła się nagłym ruchem w stronę ściany i wymówiła niechętnie:

— Możecie odejść oboje! Nie potrzebuję was wcale. Dręczycie mnie tylko.

Pan Gryce więc powrócił do salonu silnie zamyślony.

— Co to ma znaczyć? — zapytała go panna Farman niespokojnie. — Czy umie pan sobie wytłumaczyć słowa mojej matki, bo ja doprawdy nic nie rozumiem.

Na to pytanie pan Gryce nie dał odpowiedzi, tylko zapytał ze swojej strony:

— Dlaczego matka pani wsunęła rękę pod poduszkę? Cóż tam się znajdować mogło?

— Zapewne chciała się upewnić, czy jest tam jeszcze duża, szara koperta, którą trzyma schowaną, odkąd zachorowała bardziej i nie opuszcza łóżka.

— Co jest w tej kopercie?

— Nie wiem tego, proszę pana. Kilka razy zapytywałem już o to, ale zawsze udała, że mnie nie rozumie i zwracała uwagę na inny temat.

— I nie była pani na tyle ciekawą, aby się przekonać sama, co zawiera ta tajemnicza koperta — zapytał stary detektyw, którego oczy zabłysły gorącem zainteresowaniem.

— Nie, panie! I pocóż zresztą zadawałbym sobie ten trud? To są zapewne jakieś dawne listy mojego ojca, lub może nawet papiery bez wartości żadnej. Tak, jak już panu wspominałam, matka moja ma od pewnego czasu umysł już bardzo osłabiony.

— Dałbym wiele za to, aby chociać rzucić okiem na zawartość tej koperty — oznajmił pan Gryce. — Nie przypuszczam, aby matka pani bez powodu przechowywała tak starannie papiery jakieś bezwartościowe.

— Gdybym je chciała wyjąć z pod poduszki, matka moja spostrzegłaby to natychmiast, a nie chcę jej rozdrażniać niepotrzebnie — odparła panna Farman. — Mogłoby to mieć wpływ niedobry na obecny stan jej zdrowia.

— Czy jest jaki adres na tej kopercie, lub cośkolwiek zapisanego? — badał dalej stary detektyw, nie mogąc oderwać myśli od tej niewyjaśnionej tajemnicy.

— Nie, niema nic.

— A więc, gdyby mi pani pomódz chciała, możnaby bardzo łatwo podsunąć kopertę inną, a zabrać właściwą. W taki sposób matka pani nie domyślałaby się przecież niczego, a nasza ciekawość byłaby zaspokojoną.

— Nie śmiałabym uczynić tego — oświadczyła niespokojnie panna Farman. — Zresztą, czy nie sądzi pan, że byłby to akt niedelikatności, popełniony względem mojej matki?

— Ma pani słuszność, ale gdyby od tego zależało uwolnienie pani krewnego, czy jeszcze wahałaby się pani? — nalegał pan Gryce.

— Uwolnienie Cyryla? Co pan mówi, panie Gryce. Cóż zawartość tej koperty może mieć wspólnego ze sprawą mojego kuzyna? To niemożliwe doprawdy!

— Przypuśćmy jednak, że chodzi tu o papiery, zawierzone przez panią Clemmens matce pani!

— Przez panią Clemmens? Ależ w jakim celu?

— Aby nie wpadły w ręcę niepowołanych ludzi! — objaśnił pan Gryce. — Może w życiu pani Clemmens była jakaś tajemnica ważna, o której nie chciała, aby się ktokolwiek dowiedział, prócz matki! Czy może mi pani powiedzieć, jaki był stosunek pani Farman do pani Clemmens. Czy żyły ze sobą w przyjaźni?

— Oh, tak! Matka moja kochała bardzo naszą krewną. Śmierć jej zrobiła na niej tak silne wrażenie, że jak pan widzi, dotąd się z niego otrząsnąć nie może.

— A więc widzi pani, że wobec tak ścisłego zżycia dwóch kobiet i krewnych w dodatku, przypuszczenie moje nabiera cech wszelkiego prawdopodobieństwa. Matka pani mogła być powierniczką pani Clemmens i ta koperta może zawiera jakieś ważne dowody jej przeszłości.

— Nie wiem, nie wiem doprawdy! — szepnęła z wahaniem panna Farman — Gdyby jednak pan miał słuszność, panie Gryce! Gdyby ta koperta, nad którą matka tak czuwa, zawierała rzeczywiście dowody jakieś, mogące rzucić światło na życie pani Clemmens i pana Ormond?...

— I dopomódz nam do uniewinnienia Cyryla Morgan! — dokończył stary detektyw.

— Tak, właśnie o tem myślałam! Oh! gdyby tak było rzeczywiście, czyniłabym sobie wieczne wyrzuty, że nie posłuchałam pana! — zawołała z wzrastającem wzruszeniem stara panna.

— No, widzę, że potrafiłem przecież przekonać panią. — uśmiechnął się z zadowoleniem pan Gryce — Czy jest pani gotową zabrać tę kopertę z pod poduszki matki pani i zastąpić ją inną? Rzecz jest ważna, panno Farman, nie należy się wahać dłużej. Każda chwila jest drogą, kiedy chodzi o odkrycie prawdy, mogącej przywrócić wolność niewinnie oskarżonemu.

— Nie waham się już — odparła zupełnie już zdecydowana stara panna — i uczynię to, co pan żąda!

— Nareszcie! — zawołał uradowany detektyw — Niechże więc pani bez zwłoki zabiera się do dzieła. Matka pani zasnęła i sądzę, że chwila jest stosowna. Czy ma pani pod ręką kopertę przypominającą tamtą rozmiarami?

— Oh, tak! Znajdę ją z pewnością w mojem biurku.

Po upływie paru minut, panna Farman, drżąca i blada ze wzruszenia, wręczała panu Gryce kopertę szarą, wypełnioną pożółkłymi papierami.

— Oto jest! — westchnęła z ulgą — Na szczęście matka nie przebudziła się. Gdyby jednak spostrzegła zamianę...

— Wytłumaczy jej pani, że chodziło tu o życie jej krewnego, Cyryla Morgan, a sądzę, że nam wybaczy — rzekł stary detektyw, niemniej wzruszony od starej panny. — A teraz żegnam panią i dziękuję za współudział. Jutro dowie się pani o rezultacie, a mam nadzieję, że w zupełności zadowolni panią.

Po tych słowach pan Gryce opuścił pokój, unosząc ze sobą tajemniczą kopertę. Nie zatrzymując się nigdzie wsiadł do pierwszego pociągu odchodzącego do Sydney, wsunął się w pusty przedział wagonu i wydobył z koperty zwój zapisanych kartek drobnem, kobiecem pismem.

— Kartki z pamiętnika — szepnął stary detektyw z radosnym uśmiechem — z pamiętnika pani Clemmens? Tak! Tak! Oczywiście, nazwisko to powtarza się kilkakrotnie! Oh! I pan Ormond jest tu wmięszany! Nie zawiodłem się przecież! Jeśli w tych kartkach nie wyczytam potwierdzenia moich przypuszczeń, zwątpię w swój węch, który dotąd nie zawodził mnie nigdy.

I pan Gryce ułożywszy się wygodnie, czytać zaczął.

Tajemnica rozjaśnia się.

W trzy dni później pan Gryce z twarzą poważną i skupioną wchodził do gabinetu pana Ferris.

— Panie prokuratorze — rzekł — przynoszę panu żądane dowody, stwierdzające, że nie pomyliłem się. Zabójcą pani Clemmens jest pan Ormond.

Pan Ferris drgnął całem ciałem i spojrzał z przerażeniem na mówiącego.

Po chwili jednak opanował się i odparł zimno:

— Sądzę, że nie rzuca pan tego oskarżenia w lekkomyślny sposób, panie Gryce. Rozpatrzmy najprzód te dowody, a potem osądzę, co z nich wywnioskować można.

— Oto są! — rzekł krótko stary detektyw, kładąc przed prokuratorem kopertę szarą zabraną pani Farman — Chciałbym jednak, panie prokuratorze, aby przed przeczytaniem tych kartek, zaznajomił się pan z raportem Byrda wysłanego przezemnie do Nebraski. Pozwoli pan, że pierwszą część tego raportu, opisującego pierwsze lata dzieciństwa pana Ormond, opuszczę, a zacznę od części ważniejszej dla nas, to jest od chwili, w której pan Ormond po ukończeniu swoich studyów prawniczych przybył do Nebraski spędzić wakacye swoje w tej okolicy.

I nie czekając na przyzwolenie prokuratora, pan Gryce wyjął z kieszeni arkusz papieru i głośno czytać zaczął:

— W małem miasteczku Swanson była wówczas w charakterze zwyczajnej panny służącej, młoda osoba, która wkrótce miała zostać żoną pana Ormond. Pan Ormond w przejeździe zatrzymał się w tym hotelu i uderzony niezwykłą urodą młodej dziewczyny, zakochał się w niej do szaleństwa i w krótkim czasie ożenił. Akt tego małżeństwa wciągnięty jest do ksiąg kościelnych tego miasteczka, gdzie go każdy przejrzeć może.

W kilka miesęcy później, pan Ormond dostaje

tytuł i funkcye adwokata obrońcy i wówczas dopiero poznaje, że uczynił krok lekkomyślny łącząc się z kobietą niższego urodzenia od siebie i o kilka lat starszą. Wstydzi się takiej żony i nie chce wprowadzić w towarzystwo, w którem odtąd przebywać będzie zmuszony.

Pewnego dnia, nie uprzedziwszy jej nawet, opuszcza ją, nie mówiąc dokąd się udaje. Jego wielka, płomienna miłość była tylko krótkotrwałym wybuchem nerwów i wyobraźni.

Opuszczona niespodzianie kobieta, czyni za nim energiczne poszukiwania, w końcu dowiaduje się o miejscu jego pobytu.

Udaje się za nim do Sydney, już nie w tym celu, aby go zmusić do wspólnego pożycia, bo bezwzględne jego postępowanie odrzuciło ją zupełnie od niego — ale aby otrzymać należącą się jej pomoc materyalną, której odmówić jej nie może.

Pan Ormond zgadza się na wszystko, pod warunkiem jednak, że nigdy nie wyjawi nikomu łączącego ich związku. Zdaje się zresztą, że oboje dotrzymali tej umowy, aż do dnia, w którym piękność miss Darnell wniosła niepokój w duszę pana Ormond. Dziesięć miesięcy temu, pani Ormond, a właściwie pani Clemmens, bo tak się odtąd nazywała — spostrzegła, że pewne papiery, a między nimi akt jej małżeństwa, zniknęły z szuflady biurka, gdzie je ukryła. Lękając się wówczas, aby mąż jej nie miał zamiaru rozłączyć się z nią zupełnie, udała się do pani Farman, krewnej swojej, której zwierzyła tajemnicę swojego smutnego małżeństwa. Przy tej sposobności wręczyła jej dokumenta pewne.

— Te właśnie, które przed chwilą położyłem przed panem prokuratorem. — objaśnił pan Gryce, wskazując dużą, szarą kopertę.

— Co one zawierają? — zapytał krótko pan Ferris głosem dziwnie zmienionym.

— Są to, jak się pan prokurator sam przekonać zechce, kartki z pamiętnika pani Ormond, gdzie nieszczęśliwa kobieta opisuje kolejno swoje smutne przeżycie. Moja rola obecnie już zakończona, panie prokuratorze. — dodał pan Gryce poważnie — Dostarczyłem panu potrzebnych i niezbitych dowodów winy pana Ormond. A dalej uczyni pan według swej woli.

Z twarzy pana Ferris zniknął w miarę słów detektywa wyraz surowej nieufności, zamieniając się na smutek głęboki i przygnębienie.

— Dziękuję panu, panie Gryce. — wyrzekł z trudem — Przeczytam zaraz te kartki.

Po odejściu detektywa, pan Ferris długi czas przechadzał się po swoim gabinecie, rozmyślając z boleścią, że przecież będzie zmuszony i on uwierzyć w winę człowieka, którego przez lat tyle uważał za najserdeczniejszego przyjaciela. Przedświadczenie to było dla niego strasznem. Czy mógł choć na chwilę przypuścić, że Ormond, ten Ormond, podziwiany ogólnie za inteligencyę swoją, wyróżniającą go z pośrodka kolegów tego samego zawodu, człowiek, jak się zdawało, o nieskazitelnym charakterze i prawości — mógł być mordercą!

Smutne rozmyślania pana Ferris przerwane zostały wejściem służącego, wnoszącego zapalone lampy. Po jego odejściu prokurator usiadł z powrotem przy biurku i drżącą ręką ujął fatalną, szarą kopertę.

Oto niektóre wyjątki z pamiętnika pani Clemmens.

— — — — — — — — — — — —

8. listopada 1887... Nareszcie znajduję się w tem samem co i on mieście, o dwa kroki od Pałacu Sprawiedliwości, gdzie czynności swoje on spełniać będzie. Co za zwycięstwo dla mnie! Co za zwycięstwo nieoczekiwane! Musiałam przywołać na pomoc wszystkie swoje siły i odwagę, aby się nie cofnąć przed jego gniewem. Nie domyśla się jeszcze mojej obecności w Sydney, ale ja go już widziałam. Wyszłam rozmyślnie o wieczornej godzinie i dostrzegłam go przechodzącego o kilka kroków odemnie. Jestem całkiem wstrząśnięta tym faktem i nie mogę spokojnie zastanawiać się nad tem, co dalej czynić mi wypada! On miał wygląd zupełnie zadowolony i szczęśliwy! Podły!

10. listopada. Clemmens... Wdowa Clemmens. Oto nazwisko, pod którem ukrywam się tutaj! Co za ironia losu! Widział mnie dzisiaj. Przeszliśmy obok siebie na ulicy. Jakże przecież zadrżał pod moim wzrokiem, pomimo wielkiej pewności siebie, jaką chciał sobie nadać. Widząc jak blednie, zrozumiałam swoją siłę! Jeżeli zechcę tu dalej pozostać i śledzić każdy krok jego, nie będzie mógł temu zapobiedz. Jednej tylko rzeczy zaczynam się lękać! Aby nie dopuścił się zbrodni, chcąc się mnie pozbyć na zawsze! Ta myśl niepokoi mnie bardzo. Gdyby był w możności zabić mnie tym wzrokiem, jakim mnie dziś obrzucił, nie należałabym już więcej do żyjących.

24. lutego 1888. Czy będę mieć siłę żyć w ten sposób dalej? Jest to pytanie, które codziennie sobie zadaję wstając. Pozostawać zawsze sama w moim małym pokoiku, podczas kiedy mój mąż bawi się bez troski w towarzystwie ludzi, którzyby mi nawet nie rzucili jednego współczującego spojrzenia. Przeżywam ciężkie chwile, muszę to przyznać, ale byłoby jeszcze gorzej dla mnie, gdybym się udała gdzieindziej, gdziebym nawet nie mogła wiedzieć, co robi, jak czas swój przepędza. W oddaleniu męczyłabym się jeszcze więcej przypuszczeniami i brakiem pewności jakiejkolwiek. Nie, nie! Lepiej jest znosić dalej to, co tu jest. Będę w końcu zmuszona przyzwyczaić się do tej okropnej sytuacyi bez wyjścia.

7. października. On kłamie niezawodnie, mówiąc, że nie kochał mnie nigdy! W takim razie dlaczego ożenił się ze mną. Nie byłam bogatą i nie prześladowałam go swoją osobą. Miałam tylko urodę. Mówi, że oczarowałam go wesołością swoją i dowcipem. W trzy miesiące później byłam już jednak dla niego nudną, banalną i źle wychowaną. Tacy są mężczyźni. Za ich przelotny kaprys kobieta musi płacić całem życiem. Przeklinam chwilę, w której go poznałam. Byłabym może spotkała człowieka swojej sfery, uczciwego, z którym byłabym szczęśliwą. A tak, spotkałam tylko upokorzenie, wstyd — a nawet obawę o własne życie!

11. maja 1889. Trzeba mu pomimo wszystko oddać tę sprawiedliwość, że nie zajmuje się innemi kobietami. Zresztą niema na to czasu, bo zajęty tylko myślą o swojej karyerze, którą poprowadził już na dobrą drogę. W ostatnich czasach zajął się tylko bronieniem morderców, których potrafi zawsze ułaskawić. Prorokuję mu na tej drodze wielką sławę, bo zdolny jest i ambitny.

5. października 1890. Daje mi bardzo skromną pomoc materyalną i rzuca ją niedbale jak kość ogryzioną głodnemu psu. Czemże ja mogę być dla niego, jeżeli nawet nie mogę ubrać się przyzwoicie? Wstydzi się mnie i unika. Już nie chcę więcej chodzić do kościoła w ubraniu prostej chłopki. Chociaż niemam wykształcenia i pięknych manier, mam prawo równać się z pierwszemi elegantkami miasta. Ale o tem nikt nie wie, że jestem prawną żoną znanego adwokata Ormond'a. Tak dalej być nie może. On musi mi przeznaczyć więcej pieniędzy na osobiste potrzeby.

10. października. Nie! Nie! Nie zażądam ani centa więcej od niego! Jeżeli znajduję się za skromnie ubraną, aby wyjść na miasto, będę siedzieć w domu. Niech nie powie, że moje wymagania były przeszkodą do jego przyszłości. Pozatem wszystkiem, przecież przyznać muszę, że nie jestem godną być jego towarzyszką życia. Zrozumiałam to dzisiaj wyraźnie, słysząc go przemawiającego przed sądem. Wychwalano tak jego wymowę w dziennikach tutejszych, że chciałam sama zdać sobie sprawę z tego. Udałam się na salę rozpraw z głową owiniętą czarnym szalem. Boże! Jaki on był piękny i pociągający. Słuchając go, wszyscy wstrzymywali oddech, a mnie ogarnęło nagle szalone pragnienie powstania wobec tych wszystkich ludzi i zawołania głośno: „To mój mąż, ten człowiek, którego podziwiacie tak gorąco. On należy do mnie, wy piękne panie, które go tak pożeracie wzrokiem. Trud wasz próżny, bo on już wolny nie jest". Wyszłam ze sali przed końcem rozprawy, niechcąc wywołać skandalu, ale na ulicy chwiałam się, jakgdybym była pijana. Kiedy znalazłam się w swoim nędznym pokoiku, rzuciłam się na łóżko ubrana i płakałam prawie do samego wieczora. Nie chcę go widzieć tryumfującego wobec wszystkich, podczas kiedy ja ginę w zapomnieniu! Już więcej nie pójdę na salę rozpraw. Ta pierwsza próba zadała mi zawiele bolu.

9. stycznia 1891. Czuję się jakoś dziwnie przygnębioną dziś wieczór i nie wiem dlaczego myślę bez przerwy o tych Hildrethach. No, tym wiadomość o mojej śmierci zrobiłaby z pewnością radość nieopisaną! Dla Henryka, mojego męża, śmierć moja byłaby również wybawieniem, chociaż nie chciałby się przyznać do podobnej myśli. Gdyby ten nędznik Gordon Hildreth dowiedział się kiedy o samotnem życiu, jakie tu wiodę, życie moje byłoby policzone na godziny! Co zaś do mojego męża, który wie o łączących nas sprawach, to wierzę, że jest zdolny mu donieść, że znajduję się tu bez opieki żadnej... Nie, nie! Dlaczego ja ośmieliłam się to napisać i posądzać tak Henryka! Może on nie jest tak podły, jak przypuszczam i nie jest zdolny uczynić mi tej krzywdy. Jeżeli kiedykolwiek znajdą mnie zamordowaną w mojem łóżku, to będzie to sprawą Gordona Hildretha. Co za straszna męka żyć pod grozą takiej ciągłej obawy.

2. marca 1892. Będę mogła już teraz żyć wygodniej, bez potrzeby liczenia się z każdym centem. Mój mąż daje mi więcej pieniędzy. Musiał to zrobić, kiedy się mu tak powodzi i mógł wynająć tę dużą, śliczną willę, w której mieszka razem ze swoją siostrą panną Ormond. I ja również opuszczę już mój nędzny, mały pokoik. Znalazłam mały domek z ogródkiem, gdzie mi będzie bardzo dobrze i wygodnie. Nie mogę mieć innych przyjemności, zrezygnowałam już z nich zupełnie. Teraz mieć będę własny salonik i kuchnię i będę mogła prowadzić gospodarstwo. Adelaida będzie mogła mnie teraz odwiedzać niekiedy. Donosi mi właśnie, że Cyryl jest już dużym chłopcem i jest bardzo zdolny i inteligentny.

10. czerwca. Mam już swój dom własny, a pomimo to żyję jak dawniej opuszczona i samotna! Na co ten dom jest mi potrzebny? Życie moje nie zmieniło się w niczem. Co prawda nie pragnę towarzystwa. Kobiety umieją tylko mówić o swoich mężach i dzieciach. Mężczyźni zaś, albo są zanadto uprzejmi, albo znowu tak zajęci swojemi sprawami, że nie mają czasu na składanie wizyt. A zresztą, pocóż ukrywać! „Jego" mi brak tylko, jego, którego bym chciała widzieć tutaj przy sobie, choćby tylko na krótką chwilę codziennie. Co mnie reszta obchodzi? Gdyby on nie chciał uważać mnie za rzecz nieistniejącą i przyszedł od czasu do czasu choć na godzinkę. Nie wymagam już nic więcej od niego. Zastosuję się do wszelkich jego życzeń, byleby go tylko zobaczyć i módz zamienić z nim słów parę. O ile spokojniej znosiłabym to życie! Muszę pomyśleć koniecznie o jakimś sposobie sprowadzenia go tutaj! Może się uda doprowadzić do tego, a wtedy przebaczę mu wszystko: upokorzenia dawne i smutki.

16. czerwca. Musiał się zgodzić. Chociaż okazałam się od początku mojego opuszczenia wyrozumiałą i zgadzającą się z losem, zrozumiał teraz, że nie może mnie doprowadzić do ostateczności. Wyczuł, że gotowa byłam w razie odmowy z jego strony, wyjawić wszystko. A to wyjawienie nagłe naszego stosunku byłoby niebezpieczne dla niego. Bylby zmuszony Sydney opuścić. Umówiliśmy się więc, że będzie do mnie przychodził kilka razy na tydzień na śniadanie. Dziś był po raz pierwszy. Przygotowałam wszystko starannie tak, jak lubiał dawniej. Musiał przyznać, że kuchnia u mnie jest wybredna i dobra! Więc pierwszy krok zrobiony. Mój Boże! Czy przypuszczałam kiedy, że będę go przyjmować u siebie, jak obcego człowieka, jego, Henryka, mojego męża! Życie niesprawiedliwe jest i smutne!

5. sierpnia. Wysiłki moje, aby go znowu zatrzymać przy sobie, nie doprowadziły do niczego. Nigdy już nie zaznam szczęścia! Kiedy przychodzi na śniadanie, nie raczy nawet przemówić do mnie. Jeżeli się przecież odezwie, to tylko w sprawach tyczących się śniadania i wypłaty jego miesięcznej. Przychodzi do mnie tak, jakgdyby przychodził do restauracyi lub pensyonatu, gdzie mu jeść dają. Dziś rano jednak wydał mi się mniej sztywny, mniej zamknięty w sobie. Chcąc wykorzystać tę chwilę lepszego usposobienia, pozwoliłam sobie na trochę swobody wobec niego i dotknęłam się jego ramienia. Ruch ten wywołał gniew jego gwałtowny. Poczerwieniał cały i byłam pewna, że mnie uderzy... Wyszedł natychmiast bez słowa, trzasnąwszy drzwiami za sobą. Więc nienawidzi mnie do tego stopnia, lub też duma jego jest tak wielką, że nie może znieść myśli, iż mam pewne prawa co do jego osoby? Fakt ten otworzył mi oczy i zniszczył wszelkie nadzieje, które ukrywałam w głębi duszy. Jestem niczem dla niego i stan ten zmienić się nie może.

13. lutego 1893. Co ja dziś przygotuję na śniadanie dla niego? Muszę wybrać coś specyalnego, co lubi. Jest to teraz jedyna moja przyjemność, kiedy widzę, że zadowolony jest z mojej kuchni. Z żony stałam się kucharką, dobrze podającą śniadanie. Czasami dziwię się, że on podobną sytuacyę znieść może. Zdaje mi się, że na jego miejscu, nie potrafiłabym nic połknąć z tego, co mi podsuwają. Ale widocznie mężczyźni są ulepieni z innej gliny, niż my, kobiety, szczególniej ci, dla których ambicya jest wszystkiem w życiu. Oni nie interesują się cierpieniami drugich, chcą tylko stworzyć sobie dostatnie i wygodne życie, pragnąc, aby wszyscy głosili ich pochwały. Takim jest właśnie mój mąż. — Co jego dziś obchodzi biedna, porzucona kobieta, którą w chwili fantazyi młodzieńczej uczynił swoją żoną? Gdybym była poślubiła jakiego księcia udzielnego, nie czułabym się mniej niską w jego oczach.

Dokończenie nastąpi.

Z tygodnia.

Deklaracye słowiańskie w parlamencie austryackim.

W dniu 30. maja po raz pierwszy od wybuchu wojny zebrała się wiedeńska Izba posłów. Na pierwszem posiedzeniu posłowie czescy złożyli następujące oświadczenie:

„Delegacya narodu czeskiego jest przejęta głębokiem przekonaniem, że obecna dualistyczna forma z widoczną szkodą dla ogólnych interesów stworzyła narody panujące i uciemiężone i że w celu usunięcia wszelkiej hegemonii narodowej i zapewnienia wszechstronnego rozwoju każdego narodu w interesie całego państwa, jakoteż i dynastyi, jest bezwarunkowo koniecznem przeobrażenie monarchii habsbursko-lotaryńskiej w państwo związkowe, obejmujące wolne, równouprawnione narodowe państwa. Powołując się w tej historycznej chwili na naturalne prawa narodów stanowienia o sobie samych i na prawo swobodnego rozwoju, na prawo, które nadto utwierdzonem jest jeszcze nieprzedawnionem historycznem, aktami państwowymi w zupełności uznanem prawem, dążyć będzie na czele naszego narodu do połączenia wszystkich szczepów narodu czesko-słowiańskiego w państwo demokratyczne, przyczem nie wolno zapominać o tym szczepie czesko-słowiańskim, który żyje w związku z historycznemi granicami naszej czeskiej ojczyzny“.

Następnie imieniem południowych Słowian zabrał głos poseł Korosec, który rozpoczął po chorwacku, potem mówił po słoweńsku, a wkońcu po niemiecku odczytał następujące oświadczenie:

„Podpisani posłowie, zjednoczeni w klubie południowo-słowiańskim, oświadczają, że na podstawie zasady narodowościowej i chorwackiego prawa państwowego, domagają się zjednoczenia wszystkich obszarów monarchii, zamieszkanych przez Słoweńców, Chorwatów i Serbów w jedno państwo samodzielne, oswobodzone z wszelkiego panowania obcego narodu, opartego na zasadzie demokratycznej, pod berłem dynastyi habsbursko lotaryńskiej i że ze wszystkich sił dążyć będą do urzeczywistnienia jednolitości narodowej. Z tem zastrzeżeniem podpisani wezmą udział w pracy parlamentarnej.“

Poseł Pacher oświadczył imieniem Związku narodowo-niemieckiego i chrześcijańsko społecznego stronnictwa, że wszelkie próby wskrzeszenia czeskiego prawa państwowego, jakoteż prawno-państwowe dążenia południowych Słowian, spotkają się ze zdecydowanym oporem Niemców austryackich.

Imieniem Polaków zabrał głos prezes Koła Polskiego, Łazarski, który zaczął mówić po polsku, a następnie po niemiecku oświadczył, że Koło Polskie w sprawie meritum złożonych tu dziś deklaracyi i w sprawie polskiej w ogólności, w myśl jednomyślnie dnia 28. maja w Krakowie powziętej uchwały w sprawie zjednoczonej niepodległej Polski, zajmie w odpowiednim czasie stanowisko.

Poseł Stapiński zaczął mówić po polsku, następnie po niemiecku oświadczył, że będzie jeszcze daną sposobność zaznaczenia i uzasadnienia w Izbie stanowiska, jakie naród polski od początku wojny zajmuje. Ponieważ dziś prawie wszystkie narody, reprezentowane w Izbie, złożyły swe deklaracye, mowca musi stwierdzić, że wszyscy Polacy zajmują stanowisko, iż wszystkie obszary, zamieszkane przez Polaków, muszą być złączone. Oto jest stanowisko, które wyrażono jednomyślnie na odbytem w poniedziałek zebraniu posłów polskich.

Uchwały polskiego Zjazdu demokratycznego w Moskwie.

W Moskwie odbył się dnia 10. maja pierwszy Zjazd polskiej demokracyi, na którym, pomiędzy innemi, zapadły następujące uchwały:

Zjazd wita ze szczerą radością zwycięską demokracyę rosyjską i życzy narodowi rosyjskiemu, aby zdobytą wolność zachował nienaruszoną i zdołał bez wstrząśnień przeprowadzić przebudowę swego życia państwowego i ekonomicznego.

Zjazd uznaje, że emigracya polska w Rosyi nie może i nie powinna prowadzić samodzielnej i oderwanej od kraju polityki.

Zjazd uchwala, że do czasu utworzenia wolną wolą narodu polskiego innych organów władzy państwowej, Tymczasowa Rada Stanu w Warszawie jest rządem polskim, który kieruje polityką polską.

Armia polska powstać może jedynie z woli narodu i pod rozkazami rządu polskiego.

Ani emigracya, ani wojskowi Polacy, nie mają prawa samodzielnie, bez porozumienia z krajem decydować o utworzeniu w szeregach rosyjskich odrębnych formacyi wojskowych polskich

Zjazd wita z żywą radością tworzące się związki wojskowe Polaków i życzy im powodzenia w ich pracy kulturalno oświatowej i narodowej.

Szkolnictwo polskie na Wołyniu.

(Do illustracyi na str. 3).

Dnia 15. maja b. r. odbył się w siedzibie kowelskiej Komendy obwodowej zjazd nauczycieli, pracujących w powiecie. Przyjechało dwadzieścia cztery osób, kierowników, lub delegatów szkół. Jako gość przybył także kierownik departamentu cywilnego przy komendzie armii, sekretarz ministeryalny, p. Henryk Krupski.

Komendant obwodu, p. pułkownik Urbański, zagaił obrady, a inspektor szkolny, p. Gürtler, wskazał w dłuższem przemówieniu na dziejowe znaczenie zjazdu, pierwszego na Wołyniu i niedaleko frontu, skreślił program pracy nauczycielskiej dla dobra obu narodów, kraj zamieszkujących i życzył obradom po myślnych rezultatów.

Pierwszym punktem programu była udatna lekcya wzorowa z drugim i trzecim stopniem nauki, równocześnie przerywana śpiewem i pięknemi ćwiczeniami gimnastycznemi (Panna Hajduczkówna).

Pan Tadeusz Wagner, nauczyciel z Ostrówek, referował rzecz o wycieczkach szkolnych i ich znaczeniu dla nauki i zdrowia młodzieży. Temat swój opracował bardzo starannie. Następnie p. Jerzy Pernerowski, nauczyciel z Kuśniszcz, omawiał sprawę uprawy ogrodu szkolnego przy pomocy dziatwy; elaborat, opracowany bardzo szczegółowo podobał się ogólnie. Panna Anna Bihunówna, nauczycielka z Lubomla, mówiła o podniesieniu frekwencyi szkolnej przez osobisty wpływ nauczyciela bez konieczności stosowania przymusu szkolnego. Poruszyła temat aktualny. Gdy się zważy tę okoliczność, że za rządów rosyjskich nauka kończyła się już z końcem kwietnia i że nauczyciel zamykał zaraz szkołę na wszystkie zamki i wyjeżdżał, a dzieci szły do gospodarstwa, że rodzice, przyzwyczajeni do dawniejszych stosunków, nie chcą obecnie posyłać dzieci do szkoły, to podanie środków i sposobów do zaradzenia złemu było bardzo na czasie.

Niezwykle ważne pytanie: „Jak ma się szkoła opiekować sierotami wojennemi?“ roztrząsała w pięknie i rzeczowo opracowanym elaboracie panna Marya Orzechowska, nauczycielka z Kowla.

Po ożywionej dyskusyi nad wszystkimi elaboratami uchwalono szereg wniosków. Na tutejsze siły nauczycielskie, zebrane na konferencyi, zrobiły obrady duże wrażenie.

Mimo niesłychanych trudności rozwija się szkolnictwo ludowe w powiecie kowelskim pomyślnie i statecznie, a to dzięki inicyatywie i zabiegom tamtejszego inspektora szkolnego, tudzież dzięki życzliwości komendanta obwodu i kierownika spraw cywilnych przy komendzie armii.

Największe trudności nastręcza, jak wszędzie, tak i tutaj brak funduszów, które, ze względu na niepewne położenie wyjednać trudno i brak odpowiednich sił nauczycielskich.

Rozwiązałoby się jednak tę sprawę pomyślnie i decydująco, gdyby się udało wyjednać u Naczelnej Komendy armii odkomenderowanie kilkudziesięciu nauczycieli, służących w wojsku, inwalidów, lub przeznaczonych do lżejszej służby. Wobec tego, że rozpoczęto już i w tym kierunku akcyę, można się spodziewać pomyślnego rozwiązania tej palącej kwestyi, a co za tem idzie, i należytego dalszego rozwoju szkolnictwa w powiecie kowelskim.

Kronika tygodniowa.

W pierwszej linii, zanim przystąpię do porządku dziennego, jaki sobie na bieżący tydzień ułożyłem, niech mi będzie wolno złożyć głęboko i z serca odczute podziękowanie pod adresem Szanownego Korespondenta z Radomyśla nad Sanem, za troskliwość o losy mej najdroższej Weronisi.

Pan ów pisze:

„W ostatniej kronice tygodniowej ani słówkiem nie wspomniał Pan o swej najdroższej Weronisi... Czemuż to przypisać? Na temat ten w naszem miasteczku wiele i różnie mówią... Radziłbym (jako nieznany przyjaciel), celem uspokojenia Czytelników, podać w najbliższej kronice powód owego niezwykłego milczenia"...

Aby uspokoić opinię publiczną w Radomyślu nad Sanem, reprezentowaną przez Szanownego Korespondenta, pospieszam donieść, iż czcigodna moja połowica ma się zupełnie dobrze, choć od czasu do czasu narzeka na przypadłości żołądkowe, których nabawiła się skutkiem opłakanych stosunków aprowizacyjnych, w jakich żyjemy. Zwłaszcza chleb z trocinami nie smakuje jej wcale i z tego właśnie powodu poleciła mi, bym się postarał o jak najrychlejsze zakończenie wojny. Posłuszny jej żądaniu, które dla mnie jest rozkazem, pisałem w tej kwestyi do Lloyda George'a, Poincarego, Wilsona i Kiereńskiego, ale dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Wybierałem się nawet do Sztokholmu na kongres socyalistów, nie otrzymałem jednak od władzy domowej pozwolenia na wyjazd, a od Redakcyi żądanych kredytów. Stało się może i dobrze, że zostałem w domu, gdyż widzę, iż się obeszli bezemnie. Ponadto jest Weronisia ogromnie przygnębioną z powodu, iż jej pomysłowość obiadowo-twórcza napotyka ciągle na różne przeszkody *ex re* braku tego lub owego artykułu spożywczego, co ją nieraz naraża na małżeńskie konflikty z głową domu, to jest ze mną. Polak, gdy głodny, jest zły, nic też dziwnego, iż, stając w obronie mego kronikarskiego żołądka, zagroziłem jej nawet rozwodem wojennym, o który mam się zamiar starać w Biurze aprowizacyjnem magistratu. Są wojenne śluby, ciekawy jestem, dlaczego nie mielibyśmy wprowadzić i wojennych rozwodów!...

Pozatem ma się zresztą zupełnie dobrze (jak już wyżej powiedziałem, a co raz z mych ust wyszło, tego nigdy nie cofam!...) i nic jej nie brakuje, prócz dwu trzonowych zębów i tego, czego brakuje i innym. Czego zaś brakuje i nas każdemu zwykłemu śmiertelnikowi, o tem chyba wiedzą i w Radomyślu nad Sanem, czytając ciągle powtarzające się narzekania na najrozmaitsze braki. Choć mieszkańcy prowincyi nie zdają sobie może z tego sprawy, żyjąc w warunkach zgoła innych, niż wielko-mieszczuchy. Tam kurki znoszą jajka, jest masełko, rzodkiewka, młoda cebulka, my musimy się obchodzić tylko smakiem i żyć wspomnieniami lat przedwojennych, kiedy było lepiej, oraz nadzieją, że po wojnie znów się wszystko poprawi.

Kwestya jednak, czy się wojna skończy i kiedy, bo oto klina zabiła nam w głowę rekwizycya skórek króliczych i kozich, co kazałoby przypuszczać, iż powoli przygotowujemy się do czwartej kampanii zimowej, a tej już chyba nikt nie pożąda.

Zresztą, mając w ostatnich czasach głowę zajętą aprowizacyą, nie mogłem się zbyt rozczulać nad Weronisią, nie przypuszczając nawet, iż może to znaleźć oddźwięk aż w Radomyślu nad Sanem!

I dziś, gdyby nie owa korespondencya, byłbym nie ruszał wcale Weronisi, ale w dalszym ciągu biadał nad rozmaitymi brakami, co miało być dalszym ciągiem sprawozdania z „nadzwyczajnego" posiedzenia Rady miasta, na którem słyszało się tylko różne „zwyczajne" narzekania, ale zarazem i pociechę, by nie upadać na duchu, gdyż może być... jeszcze gorzej. Ponieważ brakło już cukru, a sacharyna jeszcze nie nadeszła, by nam osłodzić gorzką dolę, obiecano, iż Rząd, by nam dać rekompensatę za brak mąki i ziemniaków, postara się o ułatwienie nabywania mięsa, naturalnie nie w dni postne!... Niestety (to słowo powtarza się coraz częściej), niema widoków, by to się miało spełnić w niedalekiej przyszłości, gdyż ten zapas bydła rzeźnego, jaki jest jeszcze w kraju, tak pod każdym względem wyniszczonym, jak Galicya, przedeważnie musi iść w pierwszym rzędzie na potrzeby wojska, no i dla większych zachodnich miast w monarchii, by ich żołądki zbyt głośno nie mruczały. Z innych krajów koronnych nic do nas nie przywiozą.

Jednem słowem, perspektywa bardzo miła!... Ziemniaków i mąki brak, jedz więc mięso, ale, ponieważ i tego brakuje (ale będą zato kartki mięsne!...), liż łapę i obejdź się smakiem.

Wobec tego i ja — że użyję słów pana wiceprezydenta Federowicza — umywam ręce (choć mydło drogie!...), zrzucam ze siebie wszelką i pełną odpowiedzialność za wszystko, co jeszcze z tego powodu wydarzyć się może w przyszłości i, nie czekając bynajmniej na oklaski P. T. Czytelników, przechodzę do czego innego, by potem znów do aprowizacyi powrócić. Głodnemu chleb na myśli!

W pierwszym więc rzędzie stwierdzam z ubolewaniem, iż w ubiegły piątek nie mogłem z powodu deszczu dokonać obiecanych obserwacyi astronomicznych. Po dziesiątej wieczór wracałem wprawdzie do domu, nad sobą widziałem przecież tylko dziurawy parasol. Przepowiadałem, o ile pamiętam, deszczyk na Zielone Święta, była to więc woda na mój młyn i dowód kronikarskiej nieomylności, niestety, pomyliłem się znowu, gdyż od niedzieli rano mieliśmy bardzo piękną pogodę, tak, że wspaniale udał się festyn w parku dra Jordana na dochód Towarzystwa „Czerwonego Krzyża". Ja tam osobiście nie byłem, gdyż brakło już dla mnie miejsca, takie było zatrzęsienie festynowiczów, krążyłem natomiast pilnie po placu Wszystkich Świętych, gdzie, korzystając z uroczystości Zesłania Ducha Świętego, który rozjaśnia umysły, zebrali się w magistrackim wieczerniku nasi posłowie i politycy i radzili nad tem, co było, co jest i co będzie. Wprawdzie nie mówili różnymi językami, jak się to n. p. dzieje w austryackim parlamencie, ale tylko po polsku, poruszyli wiele kwestyi, jakie zaś, o tem każdy się już dowiedział z komunikatów w pismach codziennych, kronikarz więc nie potrzebuje tego powtarzać. Kłócono się troszkę i nawet wypraszano za drzwi, ale tylko w sposób zupełnie parlamentarny, by rozerwać nieco zgromadzonych, znudzonych monotonią obrad.

Równocześnie wiecowali też i nasi światłodawcy (Towarzystwo Nauczycieli Szkół wyższych), co zaś uchwalili, wiedzą też P. T. Czytelnicy z pism codziennych, wobec czego, jak wyżej!

Na żadnem z wyżej wymienionych zebrań nie byłem, gdyż mnie nie zaproszono, nie mogę więc służyć własnemi sprawozdaniami i uwagami, zwłaszcza, że pierwsze było zbyt polityczne, drugie zaś wyłącznie fachowe, boję się zaś wspomnieć o „oświetleniu" bodaj umysłowem, bym przypadkiem nie zawadził znów, dajmy na to, o brak nafty, oleju i innych tym podobnych artykułów, bo pisanie o samych tylko brakach, może się każdemu sprzykrzyć. To jedno wiem, i to z ust bardzo wiarygodnych, iż panowie posłowie bardzo są zadowoleni z uruchomienia parlamentu, głównie ze względu na dyety poselskie, światłodawcy zaś nie gniewają się wcale, iż rok szkolny ma się w Krakowie skończyć już w dniu dziesiątego czerwca. Im co bowiem, taka już dziś zasada, później się rozpoczyna, tem prędzej powinno się kończyć. Zapadła pono uchwała, i to jednomyślna, że, ze względu na zdrowie młodego pokolenia, wakacye powinny być jak najdłuższe, a rozpoczęcie nowego roku szkolnego ma być odłożonem aż do czasu ewentualnego ułożenia, aprobowania i wydrukowania nowych podręczników dla naszych gimnazyów i szkół realnych, przewidzianego przez c. k. Radę Szkolną krajową.

Wakacye mogą sobie być jak najdłuższe, na to się zgadzam, choć członkiem Rady Szkolnej krajowej nie jestem i daję na to z góry swoje *placet*, ale z drugiej znów strony, wchodząc w intencye tych, którzy zakończenie nauki w szkołach naszych chcą przyspieszyć, pragnąłbym, by ta młodzież rzeczywiście wyjechała na świeże powietrze i tam zabrała się do pracy, choćby nawet fizycznej, ale nie wałęsała się bezcelowo po ulicach miasta, tracąc niepotrzebnie czas i zdrowie. I o tem powinni pomyśleć panowie światłodawcy, a dopomódz im ogół społeczeństwa.

Wcześniejszy początek wakacyi wywołany został coraz cięższym przednowkiem, wobec czego znajduję znów sposobność do powrócenia do spraw aprowizacyjnych, któremi w ostatnich czasach zajmuję się z taką lubością.

Przedewszystkiem więc wspomnieć muszę o zmniejszeniu racyi chleba na głowę (raczej żołądek!) i dzień, następnie zaś o braku mąki chlebowej, wobec czego w najbliższym czasie mamy otrzymać tylko chleb biały, co może być znów powodem narzekania Wiedeńczyków, iż żyjemy sobie, jak „pączki w maśle". Ponieważ zaś biały chleb nigdy tak nasycić nie potrafi, jak czarny, nic zatem dziwnego, jeśli w następnym tygodniu wzmogą się narzekania na stosunki aprowizacyjne.

Ponieważ zaś nie samym chlebem człowiek żyje, ale i... piwem, które jednemu potrzebnem jest dla nabrania fantazyi, drugiemu dla uspokojenia nerwów, trzeciemu dla tem lepszego trawienia i t. d., a piwa brak coraz bardziej daje się już we znaki, magistrat z rozpaczy załamuje ręce, nie wiedząc, jak złemu zaradzić. Podobno owo „umywanie rąk" od tego, „co z tego powodu wydarzyć się może w przyszłości", odnosiło się właśnie do niezadowolenia piwoszów, wzrastającego z każdym dniem. Pan wiceprezydent Federowicz, zajmujący się nadziewaniem i nalewaniem obywatelskich żołądków, liczy się z tem bardzo poważnie, ale czuje, że jest bezradny, gdyż woda, a nawet wino, piwa nie zastąpi. I niedługo nadejdzie już może czas, iż pod gmach magistratu pociągnie korowód strapionych postaci z okrzykiem na ustach: „Piwa!"..

Bo, proszę sobie tylko wyobrazić, na jakie przykrości narażonym jest człowiek, przyzwyczajony co wieczora „wyszlamować" sobie kiszeczki trzema lub czterema bombkami pilznerka, marki B. B. Po pierwsze, tego specyału już nie dostanie, a jeśli który z szynkarzy zapewnia, że sprowadza tylko „prawdziwe B. B." ma o tyle racyę, iż po niem bolą rzeczywiście bebechy. Zamiast piwa, dają ci za drogie pieniądze obrzydliwą lurę, na którą przed wojną nikt nie byłby nawet spojrzał, a tem mniej kupił, chyba celem łowienia karakonów, i to jeszcze musisz się bawić w szybkobiegacza i telepatę, by się przedewszystkiem domyślić, gdzie dziś można dostać piwa, a potem, by się tam udać we właściwym czasie, to jest nie zbyt wcześnie, gdy piwo jeszcze nie nabite i nie zapóźno, gdy już „wyszło".

Znam jednego jegomościa, który z polecenia leka rzy (każdy pozwolił mu po jednej bombce) spuszcza codziennie wieczór w swą czeluść żołądkową trzy „duże". Według zwyczaju dąży do swej knajpki, ale tam, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, dowiaduje się, że dziś piwka nie będzie. Zabiera się więc dalej i o miedzę znajduje lokal, a w nim piwo, zamawia więc szklankę, nim ją jednak skończył, dowiaduje się, że już piwa brak. Nie pozostaje więc nic, tylko iść dalej, czyli, mówiąc słowami poety „puścić się na fale losu", jeśli się bowiem nie jest "sztamgastem" piwa można w knajpce nie dostać. Gospodarz powiada: „Mam, ale dla swoich gości!... Do ciepłej kolacyi bombka, bez kolacyi jedno małe!..." I ma racyę! Dla świętego spokoju i miłej zgody zamawia więc ciepłą kolacyę, choć mu się jeść nie chce i zabiera ją w papier „dla psa", byle tylko dostać ową upragnioną dużą szklankę piwnego nektaru! A jak to boli serce, gdy się przyjdzie do knajpki, poprosi o piwo i dowiaduje: „Przed kwadransem się skończyło!..."

Także i ceny piwa doszły już do absurdu! W jednym z lokali piłem niedawno piwo z jakiejś fabryki czeskiej, czy morawskiej, płacąc za bombkę tylko... koronkę i dziesięć halerzy, pocieszono mnie jednak, gdym się zbyt martwił, iż niedługo znów podrożeje!... A jaki znakomity smak tego piwa, jakie skutki?!... Możemy się śmiać z braku oleju rycynowego. Te resztki, które aptekarzom zostały, mogą sobie sami wypić, my mamy surogat w postaci piwa, wszystko jedno, krajowego, czy zagranicznego, bo i jedno i drugie dyabła warte!... Magistrat, chcąc uspokoić wzburzone umysły, powinien zakupić przynajmniej jeden browar i rozpocząć warzenie piwa we własnym zarządzie. Po wojnie, gdy nastaną lepsze czasy i zaświta nam znów kiełbasa wyborcza, własne piwo może oddać nadzwyczajne usługi.

Brak chleba i piwa, jest zato szpinak, ale z koniczyny (zupełnie tak samo, jak tytoń „pursiczan" z liści plantacyjnych kasztanów!). Przyrządza się go zupełnie tak samo, jak prawdziwy, z dodatkiem jajka i śmietany (jeśli się je ma!). Urzędowy przepis powiada wyraźnie, iż spożywanie jej absolutnie zdrowiu nie szkodzi i nie pociąga za sobą żadnych przykrych następstw. Należy jednak być umiarkowanym w jedzeniu, nieraz bowiem, będąc na wsi, słyszałem, iż krowa, objadłszy się młodej koniczyny, zachorowała „na wzdęcie" i musiało się ją zarznąć, co zaś stało się krowie, łatwo stać się może i łakomemu człowiekowi, lubującemu się, choćby w wojennych nowalijkach. Co zaś ma bodaj jaką taką styczność z wojną, bywa zwykle niestrawnem. *Caveant* więc *consules!*

Figę natomiast, przynajmniej jak dotąd, pokazały chrabąszcze, które władze kazały zbierać, suszyć i dawać kurom za pokarm. Widocznie dowiedziały się o tem (naturalnie chrabąszcze, nie kury!) i dotąd, choć maj już minął, nie pokazały się wcale, wobec czego same sobie będą musiały przypisać winę, iż nie przyczyniają się do ułatwienia aprowizacyi kraju, a tem samem odbudowy Galicyi! Kto wie, czy nie każą i nam jeść chrabąszczów, skoro święty Jan, bawiąc na puszczy, mógł się żywić szarańczami, które smakiem bardzo chrabąszcze przypominają. Tak mnie przynajmniej uczono, sam tego dotąd nie próbowałem.

I teraz dopiero widzę, jak to ludzie mają różne usposobienia, czyli, że różne są na świecie gusta i guściki. Choćbym nie chciał, mimowoli wracam ciągle do spraw aprowizacyjnych, gdy tymczasem inni moi koledzy po piórze i nożycach zajmują się daleko donioślejszemi sprawami, dajmy na to, czy potrzebną nam jest teraz opera i jaka. O ile mnie się zdaje, wszyscy dziś tak cienko śpiewamy, iż bardzo łatwo możnaby zebrać odpowiedni zespół, radziłbym jednak zatrzymać się, niech się tymczasem wojna skończy, bo głodny ogół nic na tem z pewnością nie ucierpi, że Kraków nie ma opery, bez której jakoś się przecież dotąd obchodził.

Zagadki do nagrody.

Okienko.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
e   e   i
i k k l l
n   n   n
n n r s s

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Serbii. 2. Przyrząd sportowy. 3. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Czako, kiczka i brud.

Łamigłówka literacka.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

Ibsen?
Słowacki?
Syrokomla?
Bojko?
Grabowski?
Schiller?
Korzeniowski?
Göthe?
Tennyson?
Wilkoński?
Szekspir?
Łoziński?
Kuncewicz?
Korzeniowski?
Halek?
Goszczyński?
Zieliński?
Krasiński?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mars złapał boki na Z.

Logogryf.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę obchodu ludowego, związanego z Bożem Ciałem.

□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Gatunek palmy. 2. Imię męskie. 3. Tytuł u Hindusów. 4. Miasto w Austryi. 5 Aparat fotograficzny. 6 Gryzoń. 7. Zmysł. 8 Spis rzeczy. 9. Inaczej opieka. 10. Tytuł urzędowy. 11. Ślimak. 12. Olejek, służący do wyrobu perfum. 13. Przestrzeń, otaczająca ziemię 14. Rzeka w Azyi. 15. Utwór muzyczny. 16. Dowód miłości. 17. Ptak domowy. 18 Ptak domowy

Szarada.
Ułożył Andrzej Kęs, Kraków.

Pierwsza z drugą mundurn wymaga lub fraka,
Gdyż w kodeksie salonów jest konieczność taka,
Druga z czwartą ku wsparciu służy lub obronie,
Trzecia z pierwszą jest miasto, tam, w północnej stronie,
Gdzie Chodkiewicz bił wroga, a siły nie badał.
Drugim trzecim Rzymianin swe ofiary składał;
Całość znajdziesz na Wiśle. Po wodnem przestworzu
Z drzewem, albo pszenicą mknęły hen, ku morzu!

Okienko.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a a a
a   b   b
c   c   e
e g g i i i k
k   l   l
l   l   m
m n n s s y y

Znaczenie wyrazów: 1. Przyrząd destylacyjny 2 Słabość. 3. Inaczej zniesienie czegoś.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Agronom nie szuka miecza Antosia.

Bilety wizytowe.
Ułożył E. Składzień, Zawada.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

R KABINT.

JOZEK DIŁO

L. KOCEISYN

LEON I PITROSPYCKI.

TEODOR NIBINNZKY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego*: **Po ślubie.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Łamigłówka:

Kola
Amur
Rafa
Taki
Agat
Cent
Hera
Lena
Ezaw
Bari
Opal
Waga
Azot

Trójkąt magiczny:

K a s p e r Ż e l e n h o w s k i
A l e k s a n d e r W i e l k i
S k o n s o l i d o w a n i e
P r o t o n o t a r y u s z
E k a t e r y n o s ł a w
R z e ź b i a r s t w o
Z a n d a r m e r y a
E p i g r a f i k a
L u s t r a c y a
E l ż b i e t a
C e n z u r a
H e d ż a s
O m e g a
W o s k
S a k
K u
I

Zadanie do przestawienia: Grzech przed spełnieniem smakuje, a po spełnieniu katuje

Zadanie do przestawienia: Kazał pan psowi, a pies ogonowi.

Trójkąt magiczny:

Ł y s e k J a n
Y u c a t a n
S a z a w a
E k r a n
K r a s
J a ż
A r
N

Łamigłówka literacka:

Ramoty starego Detinka
Ojcze nasz.
Dziecię Starego Miasta.
Zachwycenie i Błogosławiona
Ifigenia.
Emancypantki.
Worek Judaszów
Irydyon.
Córa Piastów.
Zamek Kaniowski.
O powinnościach kobiet.
Wdowiec.
Nierozsądne śluby.
Anhelas.

Zadanie do przestawienia: Moje pół, twoja reszta.

Zadanie do przestawienia: Nie zaboli język od dobrego słowa.

Bilety wizytowe: Józef Piłsudski. Karol Trzaska-Durski. Władysław Sikorski. Edward Rydz Smigły Władysław Prażmowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klapphelz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, E. Winter Tarnów, H. Zajączkowska Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Karpowicz, Wiedeń.** — Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Subskrybujcie VI. pożyczkę wojenną!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy Ś. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła [illegible]